Nr. 12. Poznań, dnia 19 marca 1911 r. Rok XV

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie . . 1,50
z odnoszeniem
do domu 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97

Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Źródła polityki antypolskiej.

W warszawskiem „Słowie“ pojawił się artykuł, w którym zaznaczono, że w kołach rządowych berlińskich nastąpiła w ostatnim czasie zmiana na niekorzyść Polaków i to z powodu radykalnego wystąpienia Koła polskiego sejmowego wobec ministra spraw wewnętrznych. Pozycya hakatystów wzmocniła się wskutek tego, a zwolennicy wywłaszczania, korzystając z błędów popełnionych przez Koło polskie, pragną rząd zmusić do czynniejszej akcyi antypolskiej, czyli że prą do zastosowania ustawy wywłaszczycielskiej.

Z notatki tej wynika, że autor jej przypisuje wystąpieniom poszczególnych mówców Koła polskiego winę ponownego jakoby zaostrzenia kursu antypolskiego.

Zaznaczyć należy, że kurs antypolski w niczem dotąd nie złagodniał. Jedna tylko rzecz zastanawiała, a mianowicie ostrożne i oględne traktowanie sprawy wywłaszczenia tak przez rząd jak ze strony konserwatystów. To — jak wiadoma — tak dalece roznamiętniało hakatystów, że nie cofnęli się przed użyciem najordynarniejszego teroru politycznego, by wymienione czynniki ugiąć i woli swojej uczynić powolne.

Sukces odnieśli o tyle, o ile konserwatyści ogłosili znane swe oświadczenie w sprawie wywłaszczenia, które uchwalili zaraz po pierwszych atakach bojówki hakatystycznej. Ponieważ wiadome „ataki ra ykalne“ mówców polskich w sejmie miały miejsce w lutym, a oświadczenie konserwatystów uchwalono już w styczniu, przeto nie podobna go uważać za rewanż za zaczepki polskie.

Co do nas nie przywięzujemy wagi do artykułu „Słowa.“ Uważamy go raczej za nowy dowód, że istnieją wśród nas ciągle jeszcze politycy, którzy sobie nie zdają należycie sprawy z istotnych źródeł polityki antypolskiej.

Jesteśmy zasadniczymi wrogami wszelkiego radykalizmu, wszelkiego niepotrzebnego drażnienia rządu i partyi politycznych. Rozumiemy bowiem dobrze, że zbyt namiętne wystąpienia w izbach ustawodawczych w niczem nie wpłyną na polepszenie stosunków naszych, a łatwo zdolne są zrazić ludzi poniekąd życzliwie dla nas usposobionych. Jednakże nie życzylibyśmy sobie, aby rozumna ta i umiarkowana oględność nasza miała przebrać miarę i wyrodzić się w słabowite kwilenie, niegodne reprezentantów społeczeństwa, które nie łask żebrać, lecz praw swych dochodzić ma zadanie i obowiązek.

O ile też czytamy mowy posłów naszych przekonujemy się, że na ogół trzymają się one w tych granicach. Unikają drażniących zaczepek i w formie zachowują pożądaną miarę, natomiast rzecz samą przedstawiają tak jak tego interes sprawy wymaga. Że to nie zawsze jest przyjemne rządowi i partyom — to już nie posłów naszych wina, tylko rządu, który tyle powodów do uzasadnionych skarg dostarcza.

Jakkolwiek tedy przyznać należy, że zbyt ostre wystąpienia posłów naszych mogłyby w pewnych warunkach zaszkodzić naszym interesom, to jednak nie znamy przykładu, żeby sprawie naszej dotąd z tego tytułu jakakolwiek szkoda wynikła. Owszem, częściej niż raz uznawali ministrowie prascy powściągliwość posłów naszych, lecz równocześnie powoływali się na to, że niestety społeczeństwo nasze i prasa polska bynajmniej nie podziela ich umiarkowanych zapatrywań i bez porównania ostrzej daną sprawę osądza. To też nigdy wystąpieniami posłów, lecz bardzo często nieprzejednanem stanowiskiem społeczeństwa, prasy i agitatorów polskich motywowano w izbach prawodawczych konieczność rzekomą uchwalenia tej lub owej ustawy wyjątkowej.

Lecz i to nie jest istotnem źródłem polityki antypolskiej rządu pruskiego. Służy raczej tylko za pozór. Przyczyny polityki eksterminacyjnej tkwią bezporównania głębiej.

Tylko najgłupsi hakatyści wierzą istotnie w niebezpieczeństwo polskie w tem zrozumieniu, żeby Polacy dążyli do rewolucyi. Także przypuszczenie możliwości powstania państwa polskiego na ogół spotyka się u Niemców z wzdrygnięciem ramion. Nie liczą się tedy Niemcy wcale z możnością utraty prowincyj polskich i nie dla zabezpieczenia ich posiadania gnębią nas.

Politykę antypolską należy uważać za część ekspanzywnej polityki niemieckiej na zewnątrz i warunek silnej światowej polityki mocarstwowej Niemiec.

W tym celu pragną Niemcy stać się państwem narodowem t. j. zamieszkanem przez jeden naród, którego członkowie byliby spojeni pomiędzy sobą węzłem jednego języka i jednej kultury. Ponieważ zaś tej niwelacyi pod względem kulturalnym i językowym stoją na przeszkodzie odłamki innych narodów wcielone do Prus jak Francuzi, Duńczycy, a przedewszystkiem, bo najliczniejsi i najniekorzystniej pod względem geograficznym, bo kilka mil od stolicy Prus rozpostarci Polacy, przeto przeciw tym narodom obraca się ostrze systemu germanizacyjnego.

Słuszność tej opinii potwierdzają sami Niemcy.

Tak n. p. słynny lipski profesor Hasse, filar ruchu wszechniemieckiego i hakatystycznego naucza, że przyszłość należy do narodów wielkich, których walki o ekonomiczną przewagę będą wypełniały historyę najbliższych wieków. Konkurencyę z Anglią, Ameryką i Rosyą wytrzyma naród niemiecki tylko wtenczas, jeżeli państwo niemieckie zamieszkanem będzie wyłącznie tylko przez Niemców i jeżeli Niemcy zamieszkali w państwach ościennych będą czynnie popierali usiłowania Niemiec. Aby się to stać mogło, muszą Niemcy dążyć nie tylko do zgermanizowania Polaków,lecz nadto do aneksyi tych krajów, w których liczna ludność niemiecka żyje. Chodzi więc Hassemu o aneksyę Austro-Węgier przedewszystkiem, podczas gdy wszechniemcy rozciągają swe apetyty daleko szerzej, bo aż do Holandyi, prowincyi bałtyckich, Burgundyi nawet.

Za nieodzowny warunek tej ekspanzywnej polityki Niemiec uważa Hasse, a z nim hakatyści i wszyscy, którzy śpiewają znaną pieśń: Mein Vaterland muss grösser sein, bezwzględne zgermanizowanie Polaków, gdyby się to zaś nie udało, to zgermanizowanie dzielnic polskich przez celowe wpływanie na ukształtowanie się stosunku liczebnego obu walczących narodowości i ekonomiczne Polaków zgnębienie. Przepisał tedy Hasse długą receptę, w jaki sposób rząd pruski z Polakami postępować powinien, aby cel zamierzony osiągnąć i doczekał się tej pociechy, że niemal wszystkie jego przepisy w praktyce antypolskiej najsumienniejszego dostąpiły zastosowania.

Oczywiście, że poglądy Hassego stały się duchową własnością wielu wpływowych polityków i mężów stanu. Tak n. p. dr. Sattler, jeden z przywódców stronnictwa narodowo liberalnego, oświadczył w sejmie, że przeciwieństwo między Niemcami a Polakami nie jest wynikiem złej woli, lecz koniecznością przyrodniczą, wynikiem geograficznego rozsiedlenia się obu narodów. Zatem Niemcy zmuszeni są do wyparcia Polaków . Zatem jest naturalnym obowiązkiem Niemców dążyć do tego, by Polacy nietylko byli dobrymi Prusakami, ale by się stali zupełnie Niemcami. Zgodnie z jedną z mów tronowych, która wzmocnienie niemczyzny w dzielnicach polskich uważa za historyczny obowiązek Prus, uznaje dr. Sattler absolutną germanizacyę ludności polskiej za takiż historyczny obowiązek Niemców. Także ks. Bülow uważał kwestyę polską nietylko za najważniejszą kwestyę polityki pruskiej, lecz — zgodnie z Hassem — za sprawę od rozwoju której zawisła przyszłość ojczyzny niemieckiej.

Już dawno minęły czasy, kiedy Bismarck nazwał Niemcy „ein saturierter Staat.“ Wszechniemcy stanowczo innego są pod tym względem zdania, a wiadomo, że zwykli oni w swej bucie i nieostrożności wypowiadać głośno to, o czem w poważniejszych kołach politycznych myślą i szepcą. Jeżeli się pomyśli ,że ludność Niemiec z każdym rokiem rośnie o 900 tysięcy głów, jeżeli się dalej pomyśli, że kolonie niemieckie nie są tego rodzaju, aby mogły dać przytułek nadmiarowi krajowej ludności, jeżeli się uwzględni zaciętość walki ekonomicznej, jaka się toczy pomiędzy handlem i przemysłem niemieckim, a angielskim i amerykańskim i doda, że wszystkie te niedogodności z natury rzeczy stale się z biegiem czasu zwiększać muszą, nie trudno zrozumieć, że powstają ugrupowania polityczne, które w kontynentalnej ekspanzyi widzą ratunek dla duszącej się w zbyt szczupłych granicach ojczyzny ludności. Skoro zaś raz idea ekspanzyi terytoryalnej wniesioną została na wokandę spraw zajmujących opinię wielkiej części narodu, nic dziwnego, że na pierwsze miejsce wysunięto kwestyę ujednostajnienia narodowego ludności zamieszkującej kraj macierzysty, że się innemi słowy dąży do zgermanizowania szczepów innojęzycznych w obrębie rzeszy niemieckiej, gdyż trudno zabierać się do nowych zdobyczy, trudno otwierać dziedziny nowej pracy germanizacyjnej, skoro dotychczasowe jeszcze leżą odłogiem.

Zniemczyć, strawić Polaków za wszelką cenę, oto cel polityki antypolskiej. Cel niezależny pod żadnym względem od stanowiska, jakie wobec rządu zajmujemy. Jakiekolwiek będą mowy naszych posłów, póki przyznawać się będziemy do narodowości polskiej, póty będziemy niemczyźnie kamieniem obrazy, który usunąć system wrogi usiłować będzie. Mogą nastać zmiany w metodach walki. Może być, że metody te będą w przyszłości łagodniejsze, a zatem bardziej skuteczne, lecz cel pozostanie długo jeszcze niezmienionym. Pod tym względem wielkie kataklizmy polityczne, albo też, powstanie nowych idej, a raczej urzeczywistnienie w polityce starych idej i haseł chrześciańskich, może przynieść zmiany.

Tymczasem jednak daleko do tego.

My Polacy, bynajmniej nie mamy powodu dać za wygraną. Obowiązkiem naszym jest zdawać sobie dokładnie sprawę z istoty antypolskiego systemu, abyśmy mogli wobec niego ze stosowną i celową wystąpić obroną. Dotychczasowe doświadczenia zaś pokazują, że na ogół na dobrej jesteśmy drodze. Tą drogą pracy i obowiązku postępować będziemy i nadal. Jestto jedyna droga, która nas do celu dowiedzie.

Germanizacya przez księży.

Niemczyzna ciśnie się do nas drzwiami i oknami.

Ledwo człowiek na świat przyjdzie już go bierze w opiekę system germanizacyjny i towarzyszy mu odtąd po przez wszystkie dni żywota aż do śmierci. Ba, nawet po śmierci go nie opuszcza. Zdarza się przecież, że na nagrobkach domagają się niemieckich napisów i krzyże z polskim napisem usuwają z cmentarzy.

Nie ma rzeczy, którąby bardziej do gruntu poruszała duszę ludzką i pewniej wywoływała zgrzytanie całego wewnętrznego człowieka, jak ta na każdym niemal kroku narzucająca się dążność wynaradawiająca, ta obmierzła chęć wydarcia człowiekowi przyrodzonej narodowości i zastąpienia języka ojczystego obcym.

I chociażby ten narzucony język był najpiękniejszy i najbogatszy, chociażby znajomość jego skądinąd była nawet pożądana i konieczna, to jednak świadomość, że on gwałtem za każdą

cenę bywa narzucany i przeznaczony jest wyrugować i zastąpić język ojczysty — najspokojniejszych i najpotulniejszych do żywego musi oburzać.

Cóż dopiero, gdy takie dążności objawiają się u osób, których szczytnem powołaniem jest ludzi do Boga prowadzić i nauczać ich słowem i przykładem miłości i wyrozumiałości chrześciańskiej, u tych, którzy jako dobrzy pasterze dbać winni o dobro nadprzyrodzone i przyrodzone wszystkich swoich owieczek?...

Tymczasem skargi na germanizacyę uprawianą przez niektórych niemieckich księży bynajmniej nie ustają, a bodaj nawet coraz to stają się częstsze.

Przeważnie wychodźtwo, dyaspora, Górny Śląsk i Prusy Królewskie są widownią germanizatorskich czynów niektórych księży niemieckich.

Objawiają się one w najróżnorodniejszej postaci. Tu wybudowano nowy kościół w wielkiej części za polskie pieniądze, mamiono Polaków przyrzeczeniami, że otrzymają nabożeństwa polskie, a potem, gdy kościół stanął, nie dotrzymano obietnicy. Tam umieszczono na kościele, na obrazach i oknach kościelnych niemieckie napisy, lubo parafianie są prawie wyłącznie Polakami. Ówdzie kasują nabożeństwa polskie, lub pomnażają bez naglącego powodu kazania niemieckie z uszczerbkiem dla kazań polskich. Gdzieindziej przysyłają księży niewładających dostatecznie językiem polskim, a usuwają księży, którzy zaufanie i miłość parafian sprawiedliwem postępowaniem zdobyli. Jeszcze gdzieindziej usuwają z procesyj chorągwie polskich towarzystw. A co dopiero powiedzieć o nadużyciach, jakie się pod względem językowym dzieją w nauce przygotowawczej do Sakramentów świętych, o niewłaściwych, politycznie zabarwionych kazaniach, o zniewalaniu wiernych do spowiadania się w języku niemieckim, o występowaniu w spowiednicy przeciwko gazetom polskim, o publicystycznych antypolskich występach księży katolickich, siejących nienawiść i zgorszenie.

Nie będziemy tutaj badać, z jakich pobudek niektórzy księża niemieccy dopuszczają się podobnych niewłaściwości. Wogóle, jako katolicy, tylko z największą przykrością piszemy o tych bolesnych sprawach. Lecz mamy sobie za obowiązek zwrócić na nie uwagę i przypomnieć, że kościół jest najniestosowniejszem miejscem do uprawiania polityki jakiejkolwiek. Propaganda germanizacyjna nie jest i nie może być zadaniem księży katolickich. Nie tylko wyższe wskazania sprawiedliwości, lecz prosty oportunizm powinien księży wstrzymywać od podobnych jątrzących poczynań, jeżeli rzeczywiście dobro Kościoła i wiernych im na sercu leży. Uprawianie germanizacyi w kościele niejednemu księdzu dopomogło wprawdzie w karyerze, lecz sprawie katolickiej jako takiej zawsze niepowetowane wyrządzało szkody.

Nie ma bodaj narodu, u któregoby wiara tak ściśle łączyła się z narodowością, co u nas. Kto zatem podkopuje i osłabia narodowość polską, ten równocześnie osłabia religijność ludności, a chyba czasy obecne nie są tego rodzaju, by sobie lekkomyślnie pozwalac można na takie eksperymenty.

Germanizacyi mamy dosyć w świeckich stosunkach. Niech tedy przynajmniej przybytki Pańskie będą przystanią, w której człowiek może się czuć bezpiecznym przed tą zmorą, która zewsząd na nas czyha i na każdym kroku nas dławi. Niechaj przynajmniej w kościołach będzie sprawiedliwość, skoro jej nie ma gdzieindziej. Niechaj przynajmniej w obliczu Boga ustaną weksacye i szykany, które wszystkie niemal stosunki nasze ogarnęły i zatruły! .



ZARZĄD CENTRALNEGO TOWARZYSTWA GOSPODARCZEGO.

Patrz artykuł p. t.: „Nasze ryciny.“)

Ha! myślicie, że kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie —
Ten się przelał w drugich tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu,
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile!

Z. Krasiński.

* * *

Dopiero po stracie osoby umiemy ocenić jej talenty i cnoty, jak dopiero po ścięciu dużego drzewa, jego wysokość dobrze zmierzyć można.

Stanisław Leszczyński.

Zatruta strawa.

Donoszą nam z różnych stron, że od niejakiego czasu rozszerzają kolporterzy pomiędzy ludem naszym broszury z fantastycznemi i przesadzonemi opisami smutnych zajść, których widownią był klasztor Jasnogórski.

Przestrzegamy czytelników naszych przed tego rodzaju „literaturą". Nie służy ona bynajmniej żadnym wyższym celom, lecz obliczona jest na podrażnienie najniższych instynktów ludzkich i deprawuje moralnie czytelnika.

O sprawie Macocha pisały poważnie i wyczerpująco wszystkie pisma polskie, zbrodniarzem samym zajęły się władze sądowe, a nad klasztorem władza duchowna należytą pieczę roztoczyła. Czas zatem odwrócić uwagę od tej gorszącej sprawy, roztrząsywanie której nikomu korzyści przynieść nie może.

Wogóle pragnęlibyśmy przestrzedz czytelników przed wszystkiemi wydawnictwami, o ile nie pochodzą ze znanych powszechnie firm polskich i katolickich. Zazwyczaj są to bowiem powieści żydowskiej proweniencyi, nędzne tłumaczenia zagranicznej literatury sensacyjnej najgorszego rodzaju. Czytanie tego rodzaju romansideł dużo szkód moralnych wyrządziło już czytelnikom, a szczególnie zgubnie działa na młodzież, oswajając ją ze zbrodnią i z występkiem i sprosnemi lub drażniącemi obrazami zatruwając jej wrażliwą wyobraźnię. Stare przysłowie: z kim kto przestaje, takim sam się staje — odnosi się także do książek, z któremi się obcuje. Wpływ książki, mianowicie złej, jest niekiedy zgubniejszy, niż wpływ złego towarzystwa. Czyni to sugestya drukowanego słowa, której moc jest ogromna.

Zazwyczaj chwytają się czytelnicy na rzekomą taniość tych zeszytowych wydawnictw. W rzeczywistości są one drogie, droższe niż niejedna dobra książka, napewno droższe aniżeli np. nasza „Praca", której zeszyt kosztuje tylko 15 fenygów, a zawiera dokładnie *cztery razy tyle treści,* co owe jaskrawe zeszyciki trojakowe.

Kto zatem dobrze życzy swym bliźnim, niechaj ich odwodzi od czytania owych żydowskich książeczek, a nakłania ich do abonowania „Pracy", która obok pouczających artykułów treści politycznej, literackiej i naukowej, obok licznych ilustracyj itd. daje jeszcze dwie piękne powieści, z tych jednę ilustrowaną, a kosztuje kwartalnie *tylko 1,50 mk.*

Najwyższy czas zapisać sobie „Pracę" na kwartał wiosenny.

KARCIARSTWO.

List p. Teodora Moszczeńskiego piętnujący karciarstwo żywe echo wywołał w prasie naszej. Uznanie należy się sędziwemu obywatelowi za mężne i otwarte wystąpienie, które, oby się przyczyniło do wyrugowania zła. Jednakże myliłby się, ktoby sądził, że tylko w wyższem towarzystwie hołdują tego rodzaju „rozrywkom". Jestto raczej nałóg dość powszechny u nas. Szczególnie w małych miastach, gdzie trudno o inną rozrywkę, karty i kostki są na porządku dziennym, a nie brak i domów prywatnych, gdzie „mauszelek" cieszy się prawami obywatelstwa. Niedawno mieliśmy korespondencyę z wychodźtwa, w której skarżono się na rosnące tam zamiłowanie do kart wśród młodzieży szczególnie. A któżby z nas nie znał ludzi, którzy „trzęsą się" tylko do kart i dla których gra stanowi największą, jaka się da pomyśleć, przyjemność.

O szkodliwości karciarstwa mówiono i pisano już tyle, że rozwodzić się nad tem znaczyłoby sowy zanosić do Aten. Jestto namiętność, która tak opanowuje ludzi, że stają się nieprzystępni dla wszelkich przestróg. Jak pijaka do wódki tak karciarza do stolika pcha jakaś moc fatalna, przeciw której najczęściej daremna jest walka.

To też nie tyle o nawrócenie zatwardziałych karciarzy chodzi, ile o profilaktyczną działalność. Tę zaś należy rozpoczynać w młodości. Towarzystwa młodzieży powinny baczną opieką otaczać swoich członków i występować przeciw karciarstwu. Zazwyczaj bowiem w młodości nabiera człowiek upodobań, które go już nie opuszczają przez całe życie. Za młodych lat przyzwyczaja się człowiek do tytoniu, do kieliszka, za młodych lat urabia się też żyłka szulerska.

Walnym przeciwnikiem karciarstwa, które kwitnie najbujniej w cieniach nocy i w zadymionych lokalach knajp się panoszy, jest sport. Sport jest dzieckiem dnia, słońca, powietrza, przestrzeni. Kto uprawia sport, ten w nocy potrzebuje snu, a zdrowe nerwy nie dopominają się nienaturalnych podrażnień. Tymczasem u nas Polaków sport mało ma zwolenników. Któż z nas wiosłuje, gra w tennisa, biega na łyżwach lub uprawia turystykę? Prawda, na to potrzeba czasu, a młodzież, o ile do szkół nie uczęszcza, mało go posiada, lecz są przecież niedziele. Tymczasem w niedzielę już w popołudniowych godzinach knajpy przepełnione...

I są jeszcze inni nieprzyjaciele karciarstwa: książka, muzyka, śpiew, wogóle zajęcie się czemś, co umysł zaprząta i myśl utrzymuje w ruchu.

Ludzie często siadają do kart, bo nie mają sobie nic do powiedzenia. Usiłują czas zabić, który im ciąży. Filisterstwo, bezmyślność, nuda wychowuje karciarzy...

Apelujemy do młodzieży naszej. Niechaj młodzież nie bierze sobie przykładu z tych, którzy w kartach i kostkach jedyną upatrują rozrywkę. Młodzież inne, wyższe musi mieć cele i ideały. Nauka, ojczyzna, cnota, oto hasła, które młodzieży przyświecać powinny. A także rozrywka młodzieży winna być zacna, zdrowa, rycerska. Pamiętajmy, że karciarstwo i pijaństwo w upadających społeczeństwach panoszyć się zwykło, że jest cechą zaniku zdrowia moralnego i fizycznej degeneracyi. A my przecież chcemy żyć i współdziałać nad postępem ludzkości.

Gorzej było dawniej pod tym względem u warstw wyższych. Dzisiaj natomiast w szerokie warstwy społeczeństwa zaczyna zakradać się jad karciarstwa. Młodzieży rzeczą go wyplenić.

†

Z żałobnej karty.

Ś. p. ks. Władysław Michał Dębicki.

W Warszawie zmarł ś. p. ks. Władysław Michał Dębicki, wybitny katecheta, filolog i pisarz społeczny.



Ś. p. ks. Władysław Michał Dębicki.

Pracę literacką rozpoczął ś. p. ks. Wł. Michał Dębicki jeszcze na ławie uniwersyteckiej w „Kronice Rodzinnej," poczem ogłaszał szereg artykułów, prac naukowych i historycznych.

Ukazywały się one na łamach „Kur. Warszawskiego,“ „Przeglądu Katolickiego,“ „Kłosów,“ „Tygodnika illustrowanego“ i t. d.

Osobno wydał rozprawy lub książki „O zasadniczych różnicach psychicznych między człowiekiem a zwierzęciem,“ — „Myśl i słowo, logika i gramatyka,“ „Biesiada u milionera rzymskiego za czasów Nerona, według Petroniusza Arbitra,“ — „Nieśmiertelność człowieka jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa,“ „Bezwyznaniowość, jej przyczyny i skutki“, „Postęp, szczęście i przewroty społeczne,“ „Wielkie bankructwo umysłowe, — rzecz o nowoczesnym sceptycyzmie naukowo - filozoficznym, z dodaniem studyum,“ „Koniec 19-go wieku pod względem umysłowym, charakterystyka znamion szczególnych,“ „Przyszłość Chin,“ wreszcie „Filozofia nicości, rzecz o istocie buddyzmu.“

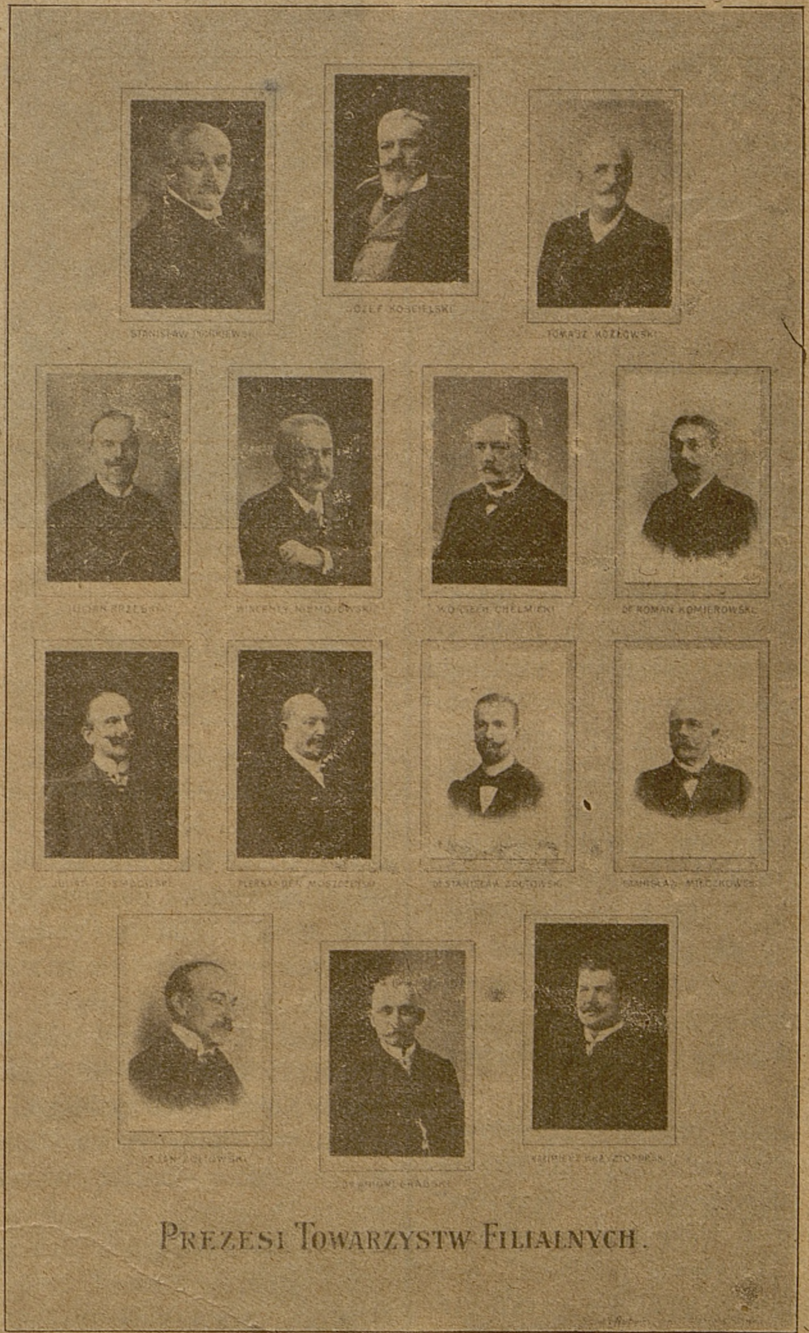
Japończyk o katolicyźmie.

Na początku tego roku zawitał do San Francisco niezwykły gość z państwa wschodzącego słońca, p. Yeukio Ozaki, burmistrz miasta Tokio, zaliczony przez ziomków do „wielkich“ ludzi Japonii. Otóż ten wielki burmistrz tak mówił w pewnem zgromadzeniu japońskiem:

„Przeszłego roku dr. Mahaharu, profesor porównawczej historyi religii na uniwersytecie w Tokio, odbywał podróż naukową po Europie, w celu bliższego poznania Kościoła katolickiego i katolickich zakonów. Rezultatem jego spostrzeżeń było przekonanie, że Kościół katolicki jest najpotężniejszą, najdoskonalszą i najwyższą instytucyą, jaką zna historya ludzkości. Jako obstająca przy zasadzie władzy, religia katolicka jest jedyną, jaką Japończykom zalecić można. Z pełnym szacunku podziwem mówił on o Świętych, których moralne ideały nieodzowne są, zwłaszcza w czasach tak materyalnie jak nasze usposobionych. „Święty — są słowa jego — jest czynnikiem koniecznym dla postępu społecznego. Potajemny, ale potężny wpływ zakonów, i zasług, jakie one dla społeczeństwa położyły, są nieobliczalne.“ Studyowanie postaci i dzieł św. Franciszka z Assyżu wywarło głębokie wrażenie na d-rze Mahaharu. Otrzymał on z Watykanu pozwolenie na zwiedzenie klasztoru Klarysek w Rzymie. Matkę przełożoną opisuje jako kobietę wielkiej inteligencyi, która o najważniejszych sprawach z wzruszającą mówiła prostotą. Zwiedził także wiele klasztorów Lazarystów, Dominikanów, Benedyktynów i Franciszkanów. „Znalazłem — pisze — w murach klasztornych życie nadspodziewanie promieniejące radością. Skandaliczne historye o klasztorach pochodzą po większej części od apostatów. Zadowolony, rozbudzony charakter i serdeczność wszystkich zakonników, których poznałem, najlepsze na mnie wywarły wrażenie. Znalazłem wśród nich wielu przyjaciół i z niektórymi do dziś dnia koresponduję. Patrząc choćby jedynie na zakony Franciszkanów, czujemy, że duch chrześciaństwa ku wszystkiemu raczej zdąża, aniżeli ku upadkowi. Gdy zaś popatrzymy na buddyzm, z żalem widzimy, że tak kwitnące niegdyś życie jego zakonów w opłakany sposób się rozpada.“

Hipolit Cegielski.

Wskutek niedopatrzenia nie umieszczono w ostatnim zeszycie „Pracy“ w gronie portretów prezesów Centralnego Towarzystwa Gospodarczego portretu *Hipolita Cegielskiego,* drugiego



Prezesi Towarzystw Filialnych.

Patrz artykuł p. t. „Nasze ryciny.“

prezesa tegoż Towarzystwa, który zaszczytny ten urząd pełnił od r. 1865 aż do końca życia swego tj. do r. 1868.

Korzystając ze sposobności, zamieszczamy krótką biografię tego męża, którego zasługi są tak wielkie, że go w jednym rzędzie z drem Karolem Marcinkowskim postawić należy.

Biografia ta pochodzi z pióra prof. dra Stanisława Karwowskiego i pojawiła się r. 1909 w Książce Jubileuszowej „Dziennika Poznańskiego“, którego Hipolit Cegielski był założycielem.

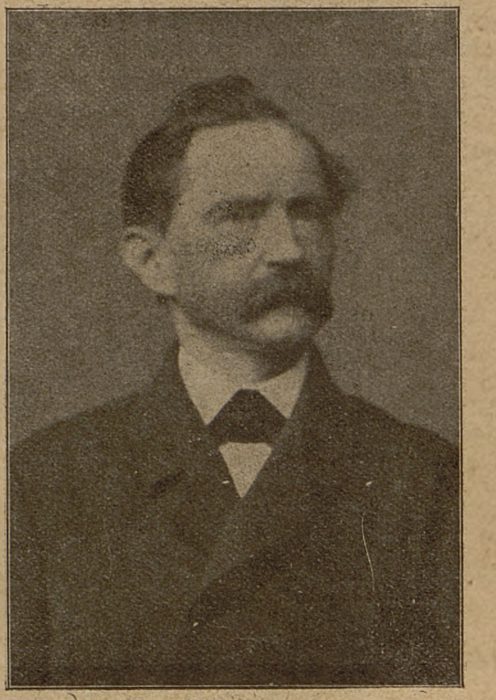
Hipolit Cegielski, urodzony 1815 r. w Ławach pod Gnieznem, którą to wieś ojciec jego dzierżawił, uczęszczał początkowo do progimnazyum w Trzemesznie. Po śmierci ukochanej matki i utracie majątku przez ojca, 14 letni chłopiec umieszczony w bursie Kosmowskiego, sam o sobie radzić musiał. Po ukończeniu szkoły trzemeszeńskiej, wstąpił do gimnazyum poznańskiego i mimo lat 16 otrzymał dozór nad trzema synami pp. Suchorzewskich z Tarnowy. Pilny, zdolny i sumienny, celował w gimnazyum, a złożywszy z chlubą egzamin dojrzałości, udał się na uniwersytet do Berlina, gdzie słuchał starożytnej filologii i filozofii, utrzymywał się zaś częścią z udzielonego mu stypendyum rządowego, częścią z lekcyj prywatnych języka i literatury polskiej, których udzielał przez dłuższy czas księciu Augustowi Sułkowskiemu i księżnie Wandzie z Radziwiłłów Czartoryskiej.

W Berlinie należał do pierwszych założycieli Towarzystwa akademickiego biblioteki polskiej, które później rząd rozwiązał. Pierwszą jego pracą literacką była gruntowna rozprawa „O Janie Kochanowskim jako poecie lirycznym“, umieszczona w „Przyjacielu Ludu“ r. 1837. W styczniu 1840 r. po napisaniu rozprawy: „De negatione“ uzyskał stopień doktora filozofii, a wkrótce potem złożył egzamin na nauczyciela wyższego. Od Wielkanocy 1840 r. rozpoczął przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny zawód nauczycielski, w którym zyskał sobie uznanie władz, a przywiązanie i cześć uczniów, na których bardzo zbawienny wpływ wywierał. Powołany do dyrekcyi Towarzystwa Pomocy Naukowej, pozostał gorliwym jej członkiem do końca życia.

W tym czasie ogłosił w „Orędowniku Naukowym“ rozprawy: „O powstaniu mowy i poszczególnych języków“, „O zasadach wychowania w szkołach wyższych“, „O słowie polskiem“, a w r. 1843 wydał „Gramatykę języka greckiego“, w dwa lata później zaś „Naukę poezyi“, która doczekała się dwóch jeszcze wydań.

W r. 1846 pozbawiony urzędu z powodu, że po nieudanym zamachu na cytadelę poznańską nie chciał przedsięwziąć rewizyi w mieszkaniach uczniów, chwycił się głównie za namową Józefa Łukaszewicza handlu żelaza i po półrocznej pracy w wielkim handlu Ravenego w Berlinie otworzył po św. Michale 1846 r. skład żelaza w Bazarze. Po trzech latach wspierany przez obywatelstwo polskie, założył pierwszą w W. Księstwie Poznańskiem fabrykę machin, którą ciągle powiększał i udoskonalał, a w r. 1858 pierwszą w Poznaniu lejarnię żelaza. Pierwszy też wydał w języku polskim Katalog opisowy i rozumowany maszyn gospodarskich.

W r. 1852 napisał broszurę „O słowie polskiem i konjugacyach jego“, w



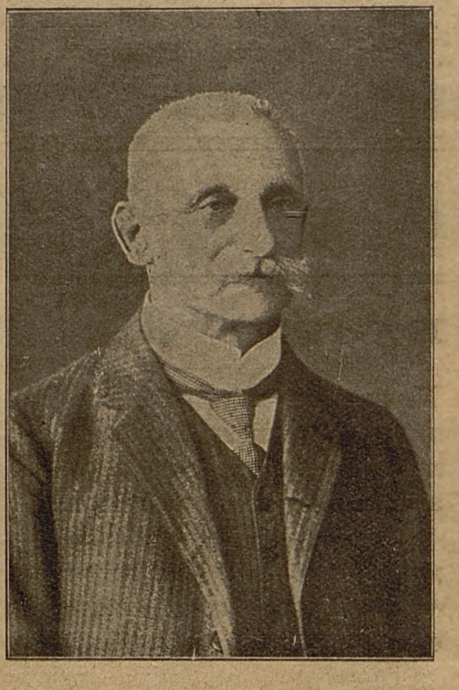
Hipolit Cegielski.

r. 1864 broszurę: „Sprawa polska przed trybunałem kongresu europejskiego“, którą wydał w francuskim języku Z. Gerstmann w Brukseli, w r. 1868, „Życiorys Karola Marcinkowskiego“ i „O pisowni p. L. Rzepeckiego i towarzyszów“. Prócz tego brał udział we wszystkich sprawach obywatelskich, w r. 1848 założył „Gazetę Polską“, a po jej zwinięciu przyczynił się znacznie do założenia „Gońca Polskiego“, w r. 1849 posłował na sejm berliński, należał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, był prezesem Kółka towarzyskiego, czynnym członkiem Towarzystwa Przemysłowego, zasiadał w Radzie reprezentantów miasta Poznania i w komisyi, która się zajmowała założeniem Szkoły realnej, i on to głównie sprawił, że do tej szkoły połowę nauczycieli wybrano z pomiędzy Polaków, że obok niemieckich utworzono cztery niższe klasy polskie, że nawet w wyższych dwóch klasach uczniowie polscy pobierali niemal połowę nauki w języku ojczystym. Przy schyłku życia spotkał go niezwykły zaszczyt, że Centralne Towarzystwo agronomiczne, będące reprezentacyą obywatelstwa wiejskiego, obrało go swoim prezesem, chociaż żadnej nie miał posiadłości ziemskiej, w uznaniu zasług, które jako twórca fabryki około gospodarstwa położył. Umarł ten mąż znakomity 30 listopada 1868 r. Cechowały go nieugięta prawość charakteru, bystry rozum, stanowcza wola i gorąca miłość ojczyzny.

Z bieżącej chwili.

Nowa kandydatura poselska.*)

W miejsce ś. p. ks. prałata Jaździewskiego odbędą się wybory na posła do sejmu pruskiego w okręgu Krotoszyńsko - Koźmińsko - Jarocińsko-Pleszewskim, wobec czego odbywają się obecnie zebrania wyborcze w wzmiankowanym okręgu celem postawienia listy kandydatów. Na świeżo odbytem zebraniu w Koźminie postawiono na pierwszem miejscu jednomyślnie jako kandydata zasłużonego obywatela, prezesa Koła polskiego w poznańskiej Radzie miejskiej p. profe-



Profesor Dr. Stanisław Karwowski.

sora dra Stanisława Karwowskiego z Poznania, po poprzedniem wygłoszeniu przez tegoż mowy programowej.

* * *

Powódź w Poznaniu.

Doroczne wiosenne wylewy Warty dają się nie mało we znaki nadbrzeżnym jej mieszkańcom, do których zaliczają się także poznańscy właściciele restauracyj i ogrodów położonych przy ulicy Dębińskiej. Począwszy od restauracyi i ogrodu „Columbia“ p. Przybylskiego są wszystkie lokale i ogrody po obu stronach ulicy zalane wodą. Komunikacya odbywa się na łodziach, a do restauracyi p. Przybylskiego dostać się można tylko po rusztowaniu, zbudowanem na stołach i krzesłach ogrodowych.

*) W chwili, gdy dajemy niniejszy zeszyt do druku, wyłania się na pierwsze miejsce ponownie kandydatura ks. Kurzawskiego z Pakości.



Fot. „Camera.“ Z. Śniegocki.
Powódź w Poznaniu. — Zalane łąki Dębińskie.



Fot. „Camera.“ Z. Śniegocki.
Powódź w Poznaniu — Zalana ulica Dębińska.

Wogóle wylew Warty utworzył wielkie jezioro; niezwykły ten widok obrazują nam zamieszczone dwie ryciny. W zeszłą niedzielę przez dzień cały tłumy publiczności, zwabione powodzią, dążyły w stronę ulicy Dębińskiej, celem przypatrzenia się wylewowi Warty.

Od kilku dni woda opada.

* * *

Wystawa łowiecka.

Druga wystawa trofeów myśliwskich jako to rogów jeleni, sarn i kozic, szabli dzików, kłów lisów, borsuków i żbików, wypchanych (preparowanych) głuszcy, cietrzewi i innych pożytecznych ptaków, oraz ptaków drapieżnych — już to w całości, lub też ich piór i szpon — urządzona staraniem Towarzystwa łowieckiego w Poznaniu — odbyła się od 6-go do 8-go marca r. b. w sali I. piętra hotelu francuskiego. Ściany sali wystawowej ozdobione były obrazami naszych malarzy, przedstawiającemi motywa myśliwskie.

Wystawę zwiedziła liczna publiczność, która z ciekawością oglądała rzeczywiście piękne okazy.

Następujący wystawcy otrzymali nagrody: pp. Adolf hr. Bniński, Dr. Witold Celichowski, Tadeusz Goetzendorff-Grabowski, Gorzeński, państwo Zygmuntostwo Kurnatowscy, Adam hr. Łącki, St. Mieczkowski, państwo Mieczysławostwo Swinarscy, Antoni Unrug, Andrzej hr. Żółtowski.

* * *

Sprawa Macocha.

Jak donoszą z Piotrkowa, Damazy Macoch stara się, aby jak najprędzej ukończono śledztwo w jego sprawie. Podobno z wielką chęcią udziela Macoch różnych wskazówek sędziemu śledczemu, przyczem przyznaje się do wszelkich zbrodni, oświadczając, iż w zupełności uznaje swe przestępstwa i pragnie ponieść karę tu na ziemi. Udział Macocha w rabunku obrazu cu-



Morderca i świętokradzca Damazy Macoch.

downego Matki Boskiej Częstochowskiej wykluczono, natomiast jest on oskarżony: 1) o rozmyślne zabójstwo Wacława Macocha, 2) o kradzież dokonaną razem z Izydorem Starczewskim z kasy klasztoru jasnogórskiego rubli 10,000, 3) o przywłaszczenie razem z Bazylim Olesińskim papierów procentowych w sumie rb. 5000 z celi zmarłego X. Bonawentury Gawełczyka, 4) o kradzież razem z obu wymienionymi zakonnikami około rb. 4000 z ołtarza świątyni jasnogórskiej i wreszcie 5) o podrobienie dokumentów.



Damazy Macoch i Helena z Krzyżanowskich Macochowa, wdowa po zamordowanym Wacławie Macochu.



O. Bazyli Olesiński.

Z TEATRU.

Stanisław Kozłowski: „Hrabina Cosel“.

W sztuce tej, którą reżyser dramatu p. Werowski wybrał na swój wieczór honorowy, zapoznajemy się bliżej z jedną z najciemniejszych postaci, które kiedykolwiek splamiły dzieje narodu naszego, z Augustem II., saskim elektorem i królem polskim, który przekupstwem doszedłszy do korony polskiej w najhaniebniejszy sposób z wrogami własnego królestwa o podział Polski się układał, do Polski bezprzykładne wprowadził zepsucie obyczajów, ekonomicznie tak Saksonię jak Polskę zrujnował, (szafując milionami na niezliczone swe kochanice, z któremi przeszło 300 dzieci spłodził), w narodzie polskim wszelką moralność i wszelki patryotyzm zniszczył i grunt położył pod przyszłe rozbiory i niesławny polityczny upadek państwa polskiego.

Z obrzydzeniem tylko i najwyż-

szym wstrętem patrzeliśmy w sobotę na wywleczony w światło kinkietów cień tego ohydnego Niemca, który dla korony polskiej własnej się wyrzekł wiary i zgotowawszy oślepionemu przez siebie narodowi największe, jakie się pomyśleć dadzą nieszczęścia, do dziś dnia grobem, który znalazł w podziemiach wawelskiego kościoła, i przeklętą pamięcią swoją urąga słusznemu gniewowi i pełnej grozy nienawiści narodu polskiego.

Dramat Kozłowskiego, dość zręcznie osnuty na tle powieści Kraszewskiego, przedstawia dzieje ambitnej Anny Konstancyi z Brockdorfów Hoymbowej, która, porzuciwszy dla zalotnego króla męża, jako hrabina Cosell przez dziewięć lat potrafiła utrzymać się w łaskach monarchy, aż nareszcie, znienawidzona przez dwór i zauszników królewskich, zrażonych nieokiełznaną dumą nieopatrznej faworyty, skończyła w więzieniu na ponurym zamku Stolpen, ponieważ wzbraniała się wydać dokumentu, w którym wiarołomny król uznaje ją za swą małżonkę i po śmierci prawowitej żony, królowej Chrystyny Eberhardyny Brandenbursko - Kulmbachskiej, publiczny ślub i koronę jej przyrzeka.

Postać tę z niezrównaną maestryą kreowała pani Bednarzewska, czarując wykwintem swej subtelnej i pełnej głębokich akcentów gry. Ponieważ zaś na sobotę przypadały imieniny znakomitej artystki, przeto liczni wielbiciele jej talentu urządzili artystce wspaniałą owacyę kwiatową.

Również benefisant p. Werowski wielkie miał powodzenie artystyczne w roli Augusta i cieszył się mnóstwem wieńców i kwiatów, które się nań jak z rogu obfitości posypały.

Księżną Cieszyńską, a raczej księżną Teschen — taki bowiem tytuł piastowała zdystansowana przez szczęśliwszą Hoymbową, uwiedziona przez króla i rozwiedziona z mężem Urszula Lubomirska — była p. Sznagowa i wywiązała się z zadania z właściwym sobie talentem. Na miejscu była p. Sieniawska, a także p. Pawlicka, lubo podpadała nieco jednostajnością gestu i omdlewającym jakoby sposobem mówienia.

Reszta ról rozdana była na ogół szczęśliwie. Dobrym Hoymem był p. Czerniak, lecz trudno powiedzieć, żeby rola ta specyalnie odpowiadała uzdolnieniu artysty. To samo należy powiedzieć o p. Bogusińskim (Fleming) oraz o p. Kęckim (Reuss). Pp. Szatkowski, Borowski, Boroński, Czaki Justian, Czajkowska i t. d. tylko małe mieli role, z których wywiązali się należycie.

Inscenizacya była bardzo staranna, kostyumy króla oraz tualety pań nader piękne, to samo należy powiedzieć o dekoracyach i rekwizytach, wskutek czego przedstawienie prezentowało się bardzo okazale.

Licznie zebrana publiczność oklaskiwała tak benefisanta jak solenizantkę obficie i ze szczerym zapałem.

R.

Witold Magdziński.

Z Wystawy

Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

W gorączkowem życiu zaboru naszego, w zaciętej walce o byt, wytworzonej anormalnemi stosunkami, rozwinął się u nas tak wielki materyalizm, takie pożądanie tylko materyalnych korzyści i uciech, że wrażliwość na ten świat drugi, potrzeby ducha, jakoby zupełnie zamarły.

Dla całej rzeszy w tych warunkach wzrosłej, życie duchowe zaboru naszego jakby nie istniało.

Oczywiście tych ostatnich za to winić nie można, przyczynia się do tego wychowanie.

Pominąwszy inne działy sztuk pięknych, weźmy sztuki plastyczne. Zainteresowanie w tym kierunku objawia się tylko w sferze bardzo szczupłej; reszta, a jest jej ogromna większość, wziąwszy całe Księstwo, jest zupełnie obojętna. Towarzystwo przybywające do Poznania na wszystko ma czas, lecz by też zajrzeć na wystawę, o tem niema ani mowy nawet, jakżeż może być inaczej, gdy ten ktoś nieodczuwa najmniejszej potrzeby i zainteresowania. Zmieniło się już nieco pod tym względem, ale trzeba będzie jeszcze wiele lat i zachodów, by te potrzeby duchowe zbudzić, zbudzić szeroki ogół z tej wegetacyi materyalnej, w której zanika samowiedza społeczna i narodowa; w takich warunkach ludzie sami nie wiedzą jak kosmopolitami się stają.

Powtóre ta szczupła garstka z prowincyi, co czasami o wystawę zawadzi, dziwnie patrzy na sztukę. Widząc w okół siebie tyle różnych malowideł i będąc nieraz otoczoną takiemi, znalazłszy się na wystawie i zobaczywszy obrazy, które odbiegają kolorytem i całem traktowaniem tematu od tego, co zwykle widzi, wówczas się odwraca, albo też wzrusza ramionami pytając co to jest? Oczywiście tłomaczenie takim jednostkom, to strasznie długa ceremonia, która po części chybia celu — bo na rozwinięcie poczucia estetycznego a już samej potrzeby wrażeń, na to potrzeba czasu no i chęci.

Pragnąłbym jednakże dać chociaż tylko małe porównanie. Niejednej z osób czytających te słowa, zdarzyło się z pewnością nieraz, że znalazłszy się wobec objawu przyrody, ta z taką siłą do jego duszy przemówiła, że mimowoli odniósł wrażenie i z piersi wyrwał się okrzyk: ach jakie to piękne. Wróciwszy do domu osoba ta zapytana jak tam też było, z pewnością nie potrafiła by dać opisu tego, co widziała, gdyż urok ten tkwił głębiej, była to mowa przyrody, która się echem w duszy odbiła.

To też publiczność wrażliwa na prawdziwe piękno, potrzebować i szukać go będzie, oceniając twórczość artystów zupełnie inaczej, nie wymagając tylko kopii przyrody.

Tak samo jak każdy widz odnosić będzie inne wrażenia, zależne od jego potrzeb duchowych i wrażliwości, tak samo każdy artysta obdarzony prawdziwym talentem pojmować będzie inaczej, dając wyraz plastyczny swym wrażeniom na swój sposób indywidualny. To też wystawa składająca się z dzieł artystów indywidualnych, pomimo rozbieżności kierunków czy sposobów wyrażania się, nie będzie czynić nigdy wrażenia dysonansu, gdyż pomimo tej pozornej rozbieżności pojmowania, łączyć ich będzie jedna wspólna idea, idea prawdziwego piękna, ta siła duchowa, to szczere umiłowanie natury i sztuki.

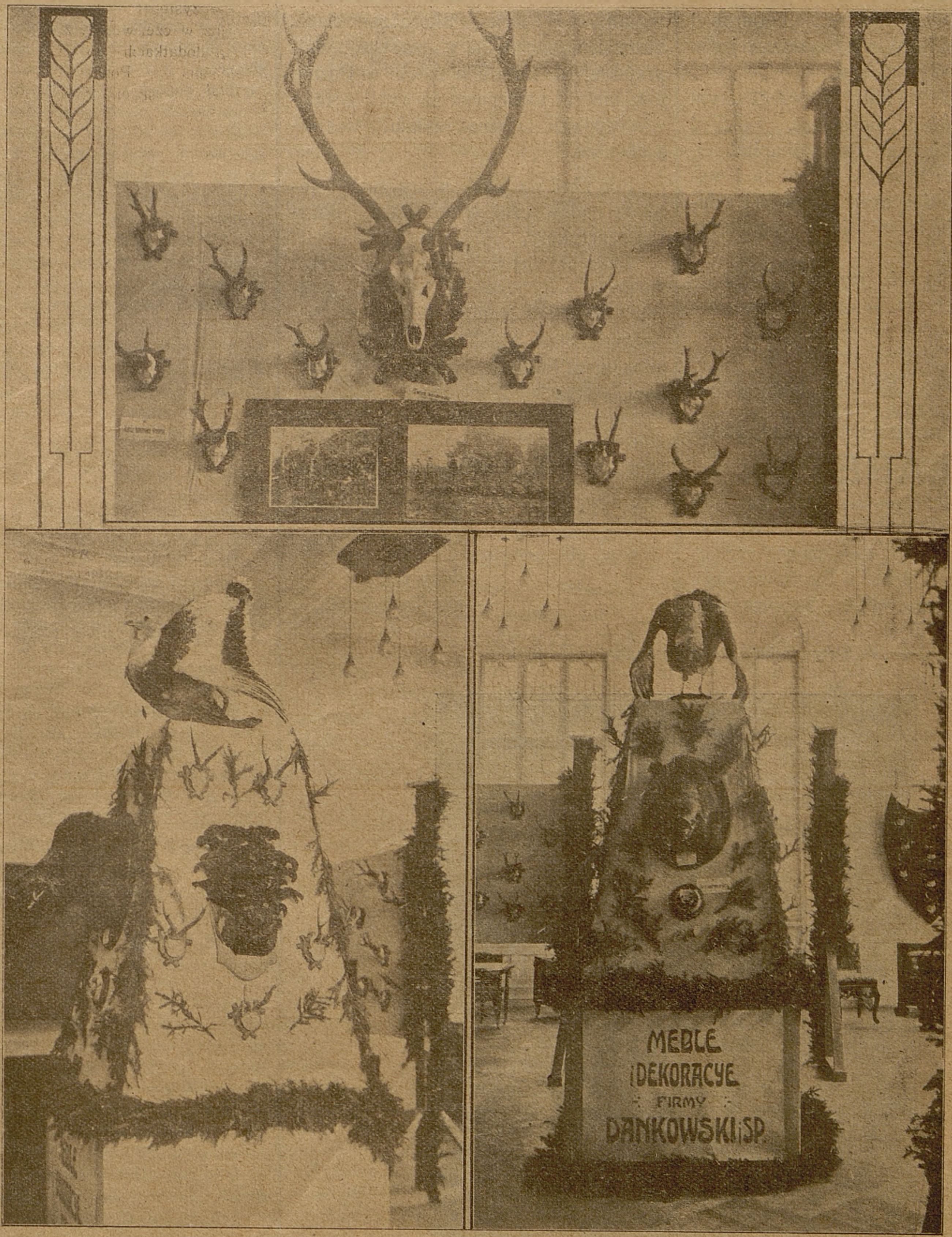
O stały dobór takich dzieł na wystawie jest trudno; wielu artystów w zaraniu swego rozwoju o wielkich zadatkach na przyszłość, wypacza nieodpowiednia szkoła, lub życie samo i jego potrzeby.

Zająwszy już tak dużo miejsca, szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają mi rozpisać się szerzej o poszczególnych artystach obecnej wystawy; zresztą niechaj publiczność sama stara się szukać wrażeń a z czasem zacznie sama trafnie oceniać.

Skrochowska kocha się w barwach — odczuwając je, pojedyńcze ich tony o czystości nieskalanej, uwydatnia w kwiatach i owocach — jarzą się one figlarnie blaskiem drogich kamieni, dając wrażenie szczerości i wielkiej harmonii.

Makowski — artysta skondensowa-

Z wystawy łowieckiej w Poznaniu.



Fot. K. Kościński.

Wystawa p. Zygmunta Kurnatowskiego, u góry głuszec wypchany p. Unruga.

Wystawa p. Mieczysława Świniarskiego: wypchana głowa dzika.

Rycina górna obrazuje wystawę rogów p. Gorzeńskiego.

ny — w „Słonecznikach“ dał dzieło prawdziwej sztuki o stłumionych, wytwornych tonach, oparte na głębokich, przez duszę przetrawionych studyach. Subtelna dusza Wawrzenieckiego cierpi, że świat nie na miarę Fidyasza skrojony, wypowiadając się w mistycznych ponurych scenach średniowiecza.

Sumienne studya z natury, odczucie przyrody i jej nastrojów oraz rozległa i czysta gama tonów, cechują prace Witaszaka.

Lwie pazury pokazał Wywiórski, wystawiając obok kilkudziesięciu obrazów, kilkanaście kapitalnych rysunków.

Większych rozmiarów kompozycya „Chrystus między oprawcami“ Piechowskiego, bardzo dobra; lecz osobiście do takich wielkich urzędowych machin przekonania nie mam, gotów jestem nawet podziwiać, lecz artysty samego nie widzę.

Majewski artysta z talentem, widać to w „Chorej dziewczynie“ pośród reszty prac wiele tak sobie puszczonych.

Kugler nie idzie drogą własną, obce wpływy aż nadto widoczne.

Czarnecki artysta dojrzały o dużej

kulturze, widać rozległe studya i duże poczucie barwy.

Mało mówiące portrety Fetterowej jak i akwarelle Wielogłowskiego i dobre studya Wysockiego.

Portret p. M. kuty w przeczystym śnieżnej białości marmurze, zaliczyć może Marcinkowski do najkapitalniejszych swoich kreacyj. Prostota i wytworność całości, oraz czystość i szlachetność linii, łączą się w niezmiernie piękną całość.

Kwilecki to też artysta z Bożej łaski, biust artysty W. przeprowadzony znakomicie.

Rzeźby Flamma prócz Szekspira pretensyonalne. Rakowięckiej „Rzeźba“ bardzo jeszcze skromna.

„FILARETA“.

Z zeszytu 3-go „Filarety“ na miesiąc marzec dajemy następującą rycinę: Alexander Herbst i Byczewski zginęli w powstaniu. Filip Skoraczewski został skazany za udział w powstaniu na śmierć, lecz później ułaskawiony. Z wyjątkiem Filipa Skoraczewskiego, który uczęszczał do gimnazyum najprzód w Lesznie, a później w Poznaniu, inni uwidocznieni na rycinie młodzieńcy byli gimnazyastami trzemeszeńskimi.

Powyżej wzmiankowany zeszyt zawiera nadzwyczaj interesujące, doborowe artykuły.

Czas największy zapisać „Filaretę“ na poczcie na nowy II. kwartał. „Filareta“ zapisany jest na poczcie w „Zeitungspreisliste Abteilung II. N. poln.“, abonament kosztuje kwartalnie 90 fenygów. Adres wydawnictwa: „Filareta“ Poznań, Rycerska ulica 38. — Posen, Ritterstr. 38.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch o ścianę miotać,
Próżno, tak samo o to, co nie wróci się, kłopotać.

W. Kochowski.

Grupa młodzieży gimnazyalnej z r. 1862.



Siedzą: Tomasz Śniegocki i Filip Skoraczewski, stoją: Aleks. Herbst i Byczewski.

Ponieważ zamieszczona w zeszycie 1-szym „Filarety“ rycina przedstawiająca grupę młodzieży polskiej wielkie wywołała u czytelników naszych zainteresowanie,*) przeto dajemy dziś za łaskawem zezwoleniem pani Skoraczewskiej, której uprzejmości odnośną fotografię zawdzięczamy, dalszą rycinę.

*) Zamieściliśmy w numerze 4-tym „Pracy“ na stronie 108-mej. Przyp. Redakcyi.

Każdy człowiek choć raz w życiu musi wyszumieć i poszaleć; nie wyszumi w młodym wieku, to będzie szalał później. Każdy musi przejść gorączkę miłości, spłacić dług należny namiętności i uczuciom. Doświadczenie przodków na nic się nie zda potomkom, każdy doświadczać musi sam, dziwi się szaleństwu drugiego, póki sam w nie nie wpadnie.

Michał Bałucki.

Biblioteka publiczna w Poznaniu!

Przystępując do zrealizowania planu, który już w czerwcu r. z. poruszyliśmy w osobnych dodatkach do pism poznańskich, planu założenia w Poznaniu publicznej biblioteki i czytelni polskiej, Szanownym współobywatelom naszym najuprzejmiej donosimy, że wynajęliśmy już ubikacye na składnicę, w której gromadzimy potrochu zapasy książek. A ponieważ tych książek dla Poznania potrzeba będzie conajmniej jakie 20 tysięcy, dla tego zwracamy się do życzliwie dla planu naszego usposobionych a hojnych rodaków z gorącą prośbą, żeby **darowizną w książkach** plan nasz łaskawie wesprzeć raczyli. **Z wdzięcznością przyjmiemy każdą książkę jakiejbądź treści.**

Wiemy, że po domach naszych kryje się wiele książek takich, które raz przeczytane dla właściciela nie przedstawiają już większej wartości. Dla nas posiadają one wartość ogromną, bo staną się fundamentem wielkiej biblioteki publicznej.

Książki prosimy odsyłać pod adresem bibliotekarza naszego: Dr. Michalski — Poznań, Chwaliszewo 76.

Nazwiska ofiarodawców i wysokość ich daru zarejestrowane będą w dokumencie fundacyjnym biblioteki.

Rodacy! podajcie nam rękę do stworzenia dzieła o wielkiem kulturalnem znaczeniu.

Komitet Towarzystwa Czytelni Ludowych na miasto Poznań.

Dr. Ksawery Zakrzewski, prezes. **Leonard Kostrzeński**, skarbnik. **Dr. Stefan Michalski**, bibliotekarz. **Stefan Dobrowolski. Jan Durczykiewicz. Ksiądz Kosiak. Dr. Krzyżankiewicz. Ks. prob. Maliński. Kaźmierz Piechocki. Stanisław Porawski. Wincenty Szpotański. Stanisław Wolski. Ksiądz Wróblewski.**

Znaczki Grunwaldzkie na T. C. L.

Komitet obywatelski, zajmujący się zbieraniem Daru Grunwaldzkiego na rzecz Towarzystwa Czytelni Ludowych, wydał obecnie, ażeby zachęcić do dalszego składkowania, znaczki z podobizną króla Jagiełły, królowej Jadwigi i księcia Witolda.

Znaczków i potrzebnych formularzy dostarczyła bezinteresownie jako Dar Grunwaldzki od siebie firma p. Ziółkowskiego i Spółki z Pleszewa.

Jest to z jednej strony bardzo sympatyczny sposób spopularyzowania myśli i pamięci o roku jubileuszowym, który w lipcu do końca dobiegnie, a który u nas w szerszych warstwach ludności nie pozostawił dotychczas wrażeń większych i głębszych.

Z drugiej znów strony pomnoży sprzedaż tych znaczków bez wątpienia fundusz grunwaldzki, który do tej chwili urósł zaledwie do sumy 26 tysięcy marek, a który w całości ma zasilić zasoby tak bardzo nam potrzebnego Towarzystwa Czytelni Ludowych.

Cena znaczka każdego wynosi **pięć fenygów.**

Znaczmy więc listy nasze w pamiętnym roku wspomnień chwały naszej w dowód, że chętnie drobną ofiarę składamy na potrzeby społeczeństwa naszego.

Komitety powiatowe T. C. L., towarzystwa, instytucye, redakcye, księgarnie i składy polskie, które łaskawie zechcą się podjąć rozszerzenia znaczków grunwaldzkich mogą się zgłosić po większe zapasy do p. **Kaźmierza Otmianowskiego w Poznaniu,** przy ul. Wrocławskiej nr. 15, któremu Komitet Grunwaldzki powierzył administracyę swych znaczków.

W Poznaniu samym sprzedaży detalicznej podjęły się łaskawie następujące firmy:

Składy papieru.

T. Bartsch „Aquila;“ św. Marcin 18.

W. Jarosz „Mały Bazar,“ ul. Wilhelmowska 21.

Leon Kostrzewski „Hermes,“ pl. Piotra 4.

Antoni Rose, ul. Nowa 7/8.

Księgarnie:

J. Leitgeber, ul. Wilhelmowska 18.

W. Templowicz, ul. Wilhelmowska 20.

Składy cygar:

Kazimierz Loga, Podgórna 14.

Józef Wiekliński, Bazar.

Komitet Grunwaldzki.

Konkurs.

Redakcya „Przeglądu Wielkopolskiego“ w Poznaniu rozpisuje konkurs dla literatów polskich na napisanie noweletki. Warunki są następujące:

1) Objętość 4—5 stron druku w formacie „Przeglądu Wielkopolskiego,“ ogółem około 200 wierszy.

2) Co do formy i treści pozostawia się autorowi najzupełniejszą swobodę.

3) Nagrody wyznacza się dwie: pierwsza 200 mrk., druga 100 mrk.

4) Redakcya „Przeglądu Wielkopolskiego“ zastrzega sobie własność nagrodzonych noweletek i prawo ich druku w swem piśmie. Inne nadesłane utwory wolno będzie drukować, przyczem wyznaczy się odpowiednie honoraryum.

5) Rękopisy nadesłać należy najpóźniej do 15 maja r. b. na ręce Redakcyi „Przeglądu Wielkopolskiego“ pod adresem Walery Łebinski, Poznań, ulica Dolna Wałowa (Niederwallstr.) nr. 1. Rękopisy powinny być czytelne, przesłane w zapieczętowanej kopercie, opatrzonej godłem autora. Do nich dołączyć należy oprócz tego jeszcze kopertę nieprzejrzystą zapieczętowaną, opatrzoną na zewnątrz również godłem autora, a zawierającą wewnątrz jego nazwisko i dokładny adres.

6) Wynik konkursu ogłoszony będzie około 15-go czerwca r. b.

7) Sąd konkursowy stanowią: dr. Dobrzyńska-Rybicka, Drwęski Jarogniew, dr. Karwowski Adam, Łebiński Walery i Puffke Kaźmierz.

Nasze ryciny.

Walne Zebranie w 50-tą rocznicę założenia Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem dnia 6, 7 i 8-go marca 1911 roku.

W dzisiejszym numerze dajemy jako kartę albumową zbiorowy obraz Zarządu i członków Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, sporządzony według fotografii, którą w 50-tą rocznicę założenia Towarzystwa wykonała firma „Rubens.“

Ponieważ na obrazie znajduje się około 250 osób, zatem niemożliwem jest podać wszystkie nazwiska, to też ograniczamy się tylko do następującego objaśnienia:

Pierwszy rząd od dołu, od lewej strony ku prawej siedzą pp.: Karol hr. Biniński z Czarnotek, Ignacy hr. Biniński z Piotronki, szambelan Stablewski z Antonina, Donimirski z Prus Zach. Aleksander Lossow z Gryżyny, patron Raszewski z Jasienia, Julian Brzeski z Krotoszyna, szambelan Dr. Komierowski z Nieżychowa, Dr. Zygmunt Szułdrzyński z Poznania, Mieczysław hr. Kwilecki z Oporowa, szambelan Dr. Tadeusz Jackowski z Wronczyna, prezes Tow. książę Czetwertyński z Król. Polsk. Wiktor Unrug z Mełpina, Michał Sczaniecki z Nawry, Franciszek Mlicki z Obudna, Zygmunt Kurnatowski z Przysieki, Adolf Poniński z Kościelca, hr. Mycielski z Wolsztyna, Józef Obrębowicz z Skórzewa, Józef Thomas z Żabikowa.

Drugi rząd od dołu, od lewej strony ku prawej stoją pp.: Lucyan Osten, sekretarz Towarzystwa (trzecia osoba, a w środku członkowie Zarządu: Dr. Brodnicki z Koludy, Dr. Tadeusz Szułdrzyński z Bolechowa, Dobrogost Lossow z Grabonoga, Leon Pluciński z Swadzimia, Julian Dziembowski z Sosnowca.

Jednocześnie zamieszczamy z powodu wzmiankowanego jubileuszu ryciny Zarządu Centralnego Towarzystwa Gospodarczego i prezesów Towarzystw filialnych. (patrz strony: 359 i 361).

Fotografie są do nabycia w Atelier Rubens po 7.50 mk.

KRONIKA.

— Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowała się tylko gazeta polska, bo tylko polska gazeta jest prawdziwą przyjaciółką domu polskiego.

— Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dlatego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— **Walne zebrania wyborcze** odbędą się w powiecie jarocińskim:

1) Dla obwodu jarocińskiego **w Jarocinie** dnia 19-go b. m. o godzinie pół do 5-tej po południu w sali pana Basińskiego.

2) Dla obwodu nowomiejskiego **w Nowemmieście** dnia 19-go b. m. o godzinie 4-tej po południu (lokal zebrania będzie jeszcze ogłoszony).

3) Dla obwodu jaraczewskiego **w Jaraczewie** dnia 25-go b. m. o godzinie pół do 5-tej po południu w sali pana Szymańskiego.

4) Dla obwodu żerkowskiego **w Żerkowie** dnia 25-go b. m. o godzinie pół do 5-tej po południu w sali p. Rejka.

5) Dla obwodu kotlińskiego **w Kotlinie** dnia 26-go b. m. o godzinie 5-tej po południu w sali pana Kolodzieiczaka.

Komitet wyborczy powiatowy.

— **Bank Włościański.** Rok 1910 — czytamy w sprawozdaniu odznacza się wielkim wzrostem obrotów na wszystkich kontach, a bilans świadczy wymownie o znacznym postępie naszych interesów. Podczas gdy obrót kasowy w roku 1909 wynosił mrk. 14 883 678, podwyższył się takowy w roku 1910 na mrk. 41 896 370.

Portfel wekslowy wykazuje mrk. 1 540 739, podwoił się więc w stosunku do poprzedniego roku.

Z zadowoleniem prawdziwem wypada nam stwierdzić znaczny przyrost depozytów, z mrk 2 174 765 w r. 1909 na mrk. 3 577 529,80, z których tylko mrk. 270 573,51 są złożone za natychmiastowem wypowiedzeniem. Różne zmiany i udogodnienia dla deponentów jednają stale dla instytucyi naszej coraz większe zaufanie.

Do regulacyi hipotek właściańskich, przystąpiliśmy w licznych wypadkach. Włościanie jednakowoż jeszcze nie zupełnie pojęli korzyści uregulowania stanu hipotecznego, obawiając się kosztów jednorazowych, połączonych z tą transakcyą. Niewątpliwie przez ciągłe zwracanie uwagi na doniosłość tej regulacyi na zebraniach Kółek właściańskich, przez artykuły w gazetach rolniczych i t. d. coraz więcej gospodarze z naszych usług korzystać będą.

Czysty zysk za rok 1910 wynosi mrk. 105 480 37.

Obecny rozwój zawdzięcza Bank włościański w niemałej mierze energicznemu kierownictwu p. dyrektora dr. Hąci, który objął je po długoletnim dyrektorze ś. p. dr. Buskim.

— **„Związek Ziemian.“** Ze sprawozdania za rok 1910 podnosimy, że obrót ogólny wynosił poważną sumę 15 516 348 marek 79 fen. Obrót kasowy wynosił 9 808 711 marek 97 fen., a mianowicie dochód 4 912 114 marek 12 fen., rozchód 4 896 597 marek 87 fen. Bilans z 31-go grudnia 1910 roku wykazuje sumę 3 738 505 marek 65 fen. Zysk brutto osiągnięty w tymże roku wynosi 60 862 marek 67 fen. Liczba członków zwiększyła się od 1902 (roku założenia „Związku Ziemian“) z 284 na 542. Udziały powiększyły się w zeszłym roku o 22 293 marek 74 fen. i wynoszą ogółem 215 584 marek 91 fen. Odpowiedzialność członków wynosiła w końcu 1910 roku 563 000 marek.

Dyrektorami „Związku Ziemian“ są panowie Tadeusz Chrzanowski i Lucyan Osten.

Skład rady nadzorczej: Dr. Tadeusz Jackowski, prezes. Dr. Tadeusz Szułdrzyński, zastępca prezesa. Stanisław Chrzanowski, Kazimierz Grabowski, Stanisław hr. Łącki, Wojciech Lipski, Wincenty Niemojowski. Leon Pluciński, Władysław Sczaniecki, Jakób Szlagowski, Bronisław Wize, Adam hr. Żółtowski.

Walne zebranie odbyło się dnia 16-go b. m.

— **„Patria.“** Wiadomo, że znana poznańska fabryka papierosów pp. Ganowicza i Wieklińskiego zamieniona została w roku zeszłym na towarzystwo akcyjne. Ze sprawozdania za pierwszy rok istnienia fabryki w formie towarzystwa akcyjnego wykazuje się, że wyniki pracy, pomimo dość nieprzychylnych konjunktur, są na ogół dobre. Bilans wynosi w aktywach i pasywach 1,237,159,61 marek.

Czysty zysk po uwzględnieniu odpisów w sumie 87 842 37 marek, wynosi 286 875,19 marek. Rozdzielono go w następujący sposób: 5 proc. do rezerwy specyalnej 14 343,75 mrk., 5 proc. do rezerwy specyalnej 14 347,75 mrk., 2 proc. do funduszu emerytalnego dla urzędników 5 737,50 mrk., na dywidendę; 4 proc. od 2 100 000 mrk. 84 000 mrk., na tantyemę dla ra-

dy nadzorczej 6000 mrk., na gratyfikacye dla urzędników 2000 mrk., na superdywidendę 6 proc. od 2100000 mrk. 126000 mrk., razem 252425 marek, a resztę 34450,19 mrk. przeniesiono na rok 1911.

Członkami zarządu są panowie F. Ganowicz i J. Wlekliński z Poznania.

Skład rady nadzorczej stanowią pp.: dyrektor Banku Związku Spółek M. Więckowski, przewodniczący, dyrektor Banku Włościańskiego Dr. Hącia zastępca, dyrektor Spółki rolników parcelacyjnej W. Kaczmarek, lekarz dr. J. Maćkiewicz i kupiec F. Stychel — wszyscy z Poznania.

—**Pierwsza polska fabryka mydła** pod zaborem pruskim. Któż nie zna fabryki mydła pana Piotra Zwierzyńskiego w Gnieźnie. Pan Zw. w krótkim stosunkowo czasie, dzięki umiejętności i zdolności przemysłowo-kupieckich, doprowadził fabrykę, ulepszając wyroby z dnia na dzień, do wielkiego rozkwitu, stwarzając tem twierdzę nowego przemysłu swojskiego. Do fabryki mydeł domowych, istniejącej już lat 5, dołączył pan Zw. w ostatnim czasie fabrykę mydeł tualetowych, w którym to artykule do niedawna Francya i Anglia celowały. Mydła tualetowe p. Zwierzyńskiego są jedyne wyrobu swojskiego i oznaczone monogramem P. Z. lub znaczkiem ochronnym „Pezol.“ Komu należy na doskonałem mydle, a przytem kto popierać chce przemysł własny, powinien żądać mydła tylko z fabryki p. Zwierzyńskiego. Oprócz znanego już dziś „Mydła Zwierzyńskiego“ w kartonach, które nabyć można w każdym składzie, wyrabia fabryka wiele innych mydeł domowych, jak mydło oranienburskie, eszwegskie, żywiczne, stearynowe, rzadkie szare i salmiakowo-terpentynowe. Każdy rodzaj w rozmaitych formach i jakościach. Obowiązkiem każdego Polaka kupować i wszędzie żądać mydeł z fabryki p. Zwierzyńskiego. Ostatni numer „Kupca“ zamieścił o tem przedsiębiorstwie swojskiem obszerny artykuł wraz z rycinami, przedstawiającemi główne oddziały fabrykacyi.

— **Wrocław**, dnia 5-go marca 1911. **Sprawozdanie Tow. Polsko Katolickiego za rok 1910-ty.** Towarzystwo nasze liczyło na początku zeszłego roku 51 członków, 4-rech zostało skreślonych, nowych wstąpiło 13-tu. Tow. zatem liczy obecnie 60 członków. Posiedzeń w ubiegłym roku odbyło się 24-ry plenarnych, jedno półroczne i 9 zarządu. Na posiedzeniach zajmowano się pouczającemi odczytami, wykładami i śpiewem. Tow. przystępowało w czasie wielkanocnym do wspólnej spowiedzi i komunii św., i brało udział pod chorągwią: w procesyach podczas rezurekcyi, Bożego Ciała i na zakupionej przez Tow. Mszy św. Pewien rodak otrzymał wsparcie. Majątek Tow. składa się ze 183,65 mrk., z tej sumy 113 mrk. jest w kasie oszczędności, a 70,65 mrk. znajduje się u skarbnika. Biblioteka składa się z 230 książek. Oprócz tego abonuje Tow. następujące pisma: „Pracę,“ „Dziennik Berliński,“ „Postęp,“ „Gazetę Grudziądzką,“ „Gazetę Bydgoską,“ „Przemysłowca,“ „Lecha“ i „Robotnika Polskiego.“ Zabaw urządziło Tow. 2, z tych jedna połączona była z obchodem 20-toletniej rocznicy. Odegrano teatr amatorski „Chłopi Arystokraci.“ Towarzystwo urządziło również kilka wycieczek. Za zmarłych członków zakupiło Tow. Msze św., wreszcie urządziło gwiazdkę dla dzieci członków, na której dzieci popisywały się deklamacyami.

Do Zarządu na rok 1911 zostali wybrani: Jan Nowak prezesem, Stefan Gaj zastępcą, Stanisław Grzybowski sekretarzem, Józef Pracowity zastępcą, Piotr Konieczka skarbnikiem, Szczepan Szymałka bibliotekarzem, Jan Bachorski, Idzi Dworczak ławnikami, Stanisław Piasecki gospodarzem.

Grzybowski, sekretarz.

— **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych** i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęło w dalszym ciągu do kasy za pośrednictwem skarbnika p. Czecha Kusztelana razem mrk. 43,50.

Zaznaczamy, że tylko ze sprzedaży tych telegramów dochód przeznacza się na cele dobroczynne.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. Józef Bielski**, dziekan bydgoski, proboszcz w Mąkowarsku pod Bydgoszczą, umarł dnia 6-go b. m. w 73-cim roku życia, a 43-cim kapłaństwa. Przez śmierć ks. Józefa Bielskiego traci społeczeństwo gorliwego kapłana i dzielnego patryotę. Podczas walki kulturnej ś. p. ks. Bielski był wikaryuszem w Kościanie, wówczas kiedy tam panował rządowy proboszcz ks. Brenk, który to sprawił, że wikaryusze musieli na pewien czas opuścić Kościan. Wiele wówczas wycierpiał zmarły ks. Bielski. Po skończeniu walki kulturnej nieboszczyk przeniósł się przed 24 laty na prob. w Mąkowarsku i tam gorliwie szerzył działalność obywatelską i kapłańską. Został dziekanem dekanatu bydgoskiego. Popierał wszystkie sprawy narodowe i społeczne. — **Ś. p. Marya z Matuszewskich Brykczyńska**, dnia 4-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 72. — **Ś. p. Anna Pater**, dnia 8-go b. m. w Nowem (Prusy Zach.) w 88-mym roku życia. — **Ś. p. Mieczysław Frecowski**, dnia 7-go b. m. w Inowrocławiu, w 22-gim roku życia. — **Ś. p. Kazimiera Klonowska**, dnia 9-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Maurycy Paciorkiewicz**, dnia 12-go b. m. w Poznaniu w 77-mym roku życia. — **Ś. p. Agnieszka z Ziółkowskich Nawrocka**, dnia 11-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 60. — **Ś. p. Ludwika z Kasperczaków Walentowicz**, dnia 7-go b. m. w Rixdorfie, przeżywszy lat 21. — **Ś. p. ks. Leon Jandy**, d. 9-go b. m. w Meranie. — **Ś. p. Walerya z Boruckich Morawska**, dnia 10-go b. m. w Ostrzeszowie, przeżywszy lat 54. — **Ś. p. Jan Pewałowski**, dnia 13-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 32. — **Ś. p. Leokadya Prabucka**, dnia 9-go b. m. w Złotowie (Prusy Zach.) w 36-tym roku życia. — **Ś. p. Antonina z Prądzyńskich Bolewska**, dnia 12-go b. m. w Klaudyi, przeżywszy 82 lata. — **Ś. p. Anastazya Sikorska**, dnia 12-go b. m. w Poznaniu, w 53-cim roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Stanisławowi K. w Miłosławiu.** — Nagrodę za rozwiązanie wiadomej zagadki wysłaliśmy p. Stanisławowi Kowalskiemu do Berlina. (Berlin 9 Komandantenstrasse 28).

— **Panu Feliksowi K. w R. na Górnym Śląsku.** — „Pielgrzym“ w Pelplinie.

— **Panu Janowi B. w R. na Górnym Śląsku.** — Pan Bolesław Nixdorf w Poznaniu Stary Rynek 42. — Posen Alter Markt 42.

— **Panu Michałowi S. na obczyźnie.** — Dziękujemy i prosimy o pamięć.

— **Panu R. S. X.** — W tej sprawie udzieli Szan. Panu informacyi p. T. Łaganowski w Poznaniu Chwaliszewo 1. — Posen Wallischei 1. — właściciel hurtownego składu cygar i papierosów.

— **Autorowi artykułu o Szubercie.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale zużytkować nie możemy.

— **Nr. 100 A. B.** — Anons jednorazowy kosztować będzie 4,50 mrk.

— **Panu S. W. Z. w Poznaniu.** — Czytaliśmy z zainteresowaniem.

— **Panu A. F. w C.** — Dr. F. Schroeder „Straż“ Poznań ulica Rycerska 12. — Posen Ritterstrasse 12.

Nowe książki i treść pism.

— „**Świtu**“ miesięcznika dla popierania ruchu wstrzemięźliwości, Organu Wyzwolenia, Związku Księży Abstynentów, oraz polskiej młodzieży abstynenckiej, wyszedł zeszyt na marzec i zawiera **następującą** treść: Piąty Zjazd Delegatów Związku Towarzystw Wyzwolenia. — Sprawozdanie sekretarza „Wyzwolenia.“ — Sprawozdanie ze stanu kasy Zw. Tow. „Wyzwolenia.“ — Sprawozdanie ze stanu kasy Zw. Tow. „Wyzwolenia.“ — Akademickie Koło „Eleusis“ w Krakowie. — Reforma naszych wyszynków. (Dokończenie). — Rozmaitości. — Związek Księży Abstynentów.

Zamówienia przyjmuje: Sekretaryat Związku księży Abstynentów (Ks. M. Mrugas). Poznań — Posen Neuer Markt 16. Przedpłata roczna: wynosi 3,— mk., z przesyłką pod opaską 3,40 mk. Dla Królestwa i Krajów Zabranych 1 rub. 75 kop. (z przesyłką pod opaską). W Austro-Węgrzech 4 kor. Dla członków towarzystw abstynenckich oraz młodzieży kształcącej się 1,70 mk.

— **Józef Baczkowski: Wichrzyciel**, sztuka w trzech aktach. Poznań 1910. Główny skład w księgarni I. Leitgebra i Sp.



Pieśń miłości.

Profesor Julian Baczyński.

Ofiary Sybiru

czyli

Krwawa rocznica.

(Dokończenie).

V.

Jednemu z więźniów pochyliła się już i zwiesiła całkiem głowa i martwe już tylko wlokło się jego ciało.

— To Jabłoński już skonał pod strasznemi razami!

Pochód wstrzymał się chwilę, — krótka narada, rozkaz — zbiry przywiązują trupa Jabłońskiego do taczek i wiozą dalej ulicą żołnierzy, a biją dalej.

— Jeszcze nie otrzymał 6000 pałek! Rozkaz aż do końca spełniony być musi!

Po wykonanym wyroku z Jabłońskiego pozostał już tylko krwawy kościotrup z ciała obrany.

Główny twórca spisku ksiądz Jan Sierociński podczas tej strasznej przechadzki, straszniejszej od średniowiecznych tortur, śpiewał z wysiłkiem psalmy pokutne. Melodya Dawidowa, jako skarga ku Niebu płynie, lecz wśród grania bębnów i muzyki mało je' słychać. Wnet ucichła całkiem, gdy męczennikowi krew zalała gardło, a ciało jego całe na zrazy posiekane zostało. Za głosem i dusza jego uleciała ku Niebu...

Wkrótce wśród mąk takich wydali ostatnie tchnienia Melodini, Zagórski i Jan Wróblewski. Cudem ocalał tylko dr. Ksawery Szokalski, a zawdzięczał swe ocalenie wspaniałomyślności uczuć lekarza pułkowego, który z urzędu był obecny przy tej egzekucyi i kazał takową wstrzymać. Dr. Szokalski był dwa razy smagany: pierwszym razem otrzymał pięć tysięcy pałek, drugim razem tysiąc. Miał więc całe ciało jakby połatane i w takim stanie posłano go jeszcze do nerczyńskich kopalni. Tu, w *katordze,*[1] gorliwy ten i wielkiego ducha mąż, przez lat kilka był jeszcze opiekunem i dobroczyńcą biednych ludzi. Tęsknił on ogromnie za drogą Ojczyzną i tej tęsknoty przenieść, przetrzymać nie mógł, a gdy współwygnańcy jego nie chcieli przyjąć jego planu, aby podjąć ucieczkę do Polski przez rzekę Amur i przez Ocean Wielki, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu w kopalni w Kacze, skracając tak straszną mękę tęsknoty za Ojczyzną (r. 1844).

Takie egzekucye krwawe, jakie odbywały się w Omsku, powtórzyły się i w innych kilkunastu miejscach Syberyi, lecz w mniejszych rozmiarach. Wymierzano od 500 do trzech tysięcy kijów.

Wysocki Piotr, oficer Szkoły Podchorążych w Warszawie, gorący patryota, który na czele swych uczniów podniósł powstanie w nocy listopadowej r. 1830, brał udział w wojnie narodowej, a następnie wzięty do niewoli, skazany na śmierć, wywieziony został do ciężkich robót na Syberyi — otrzymał 1000 kijów.

VI.

Kiedy odbywały się te krwawe egzekucye na Syberyi, w Wilnie rozstrzeliwano Szymona Konarskiego (1839 r.) nieustraszonego obrońcę Ojczyzny i Wiary, zacnego męczennika za sprawę narodową na Litwie, którego szeroko rozgałęziony spisek ludowy miał na celu w społecznej walce nad wyraz krwawej, porównanie się różnic społecznych, przeobrażenie się zupełne w duchu równości i niepodległości i zamianę ludności całej w braci żołnierzy. Wtedy to pędzono na Sy-

[1]) Katorga albo zsyłka, t. j. ciężka, przymusowa robota w kopalniach, gdzie skazańcy polscy, przykuci do taczek łańcuchem, pracować musieli pod dozorem okrutnych zwykle żołnierzy. Liczne opisy strasznych mąk rodaków naszych w katorgach, znajdują się w dziełach Felińskiej, Piotrowskiego, Gordona. Pędzlem i ołówkiem przedstawiali te męki znakomici malarze Grottger, Pruszkowski i Milczewski.

bir bohaterów ludowych ze sprawy Artura Zawiszy (1833 r.) w Płockiem w Królestwie Polskiem i ze sprawy Michała Wołłowicza — dawnego filarety wileńskiego, — na Litwie w Grodzieńskiem. Przedtem bohaterowie ci byli pędzeni przez kije.

Szczególnie nad obrońcami ojczyzny okrutnie pastwił się późniejszy straszny kat Litwy, gubernator grodzieński Michał Murawiew. Z gubernii grodzieńskiej i z obwodu białostockiego 51 włościan przepędzono przez ulicę Kijów, a potem wysłano etapem na Sybir. Taki Kazimierz Sadowski, sołtys z Mostówki, wsi w pobliżu Okuniewa leżącej, dostał 3000 kijów a zięć jego gorliwy patryota Filip Kurek otrzymał 2000 kijów i obaj wysłani zostali do kopalni nerczyńskich.

Gdy tak najszlachetniejszych obrońców Ojczyzny, bohaterów ludowych obciążonych kajdanami, pędzono na Sybir na długoletnie męczarnie — na Białej Rusi pastwili się Moskale nad włościanami, zmuszając ich do wyrzeczenia się wiary przodków, a do przyjęcia wiary rządowej rosyjskiej t. zw. prawosławnej. Na Rusi panowała z dawien dawna t. zw. Unia t. j. połączenie obrządków rzymsko- katolickiego i grecko-katolickiego. Za cara Mikołaja I. obrządki katolicki i ruski (unicki) nie były rozróżniane i tak katolicy chrzcili swe dzieci i brali śluby w cerkwiach unickich jak unici w kościołach katolickich. Car Mikołaj I. w sposób okrutny postanowił całkiem odróżnić oba obrządki i oczyścić (jak twierdził) obrządek rosyjski od naleciałości łacińskich. Tem oczyszczaniem zajmował się głównie zaprzedaniec moskiewski, zwierzchnik kościelny, metropolita w Petersburgu, niecny Józef Siemiaszko. Kazał on księżom unickim zapuszczać i nosić brody, ubierać się jak popi moskiewscy, cerkwie unickie zamieniał na moskiewskie, nieposłusznych księży unickich wypędzał, a sprowadzał popów i wydawał różne rozporządzenia, na które szczerze oburzała się ludność. Wtedy to wśród jęków i płaczu rózgami zabijano na śmierć opornych unitów, starców, kobiety i dzieci, niszczono ich dobytek i wleczono do więzień; nietylko sieczono do krwi opornych włościan, ale spętanych pędzono na męki w stepy orenburskie i na Sybir.

Dopiero Makryna Mieczysławska, przełożona sióstr Bazylianek w Mińsku, męczona i prześladowana przez Moskali, zdołała uciec do Rzymu, i tu przed Ojcem Świętym opowiedziała dokładnie o tem strasznem prześladowaniu unitów przez Moskali. Lecz i ta skarga nie na wiele się przydała.

Straszna, zabójcza ziemia Syberyi pochłonęła wiele jeszcze ofiar polskich, i trudno nawet byłoby je zliczyć. Szczególnie jeszcze męczeńskie pochody polskich więźniów posuwały się często na Sybir po upadku nieszczęśliwego powstania r. 1863/4. [2])

Odpoczynek w kopalniach Sybiru.

Młot rzucili z swej dłoni szczerniałej
I podnieśli wreszcie pierś mozolną,
By o zimny, o czarny głaz skały
Barki oprzeć. — Teraz spocząć wolno.

Wolno spocząć i wolno uschnięty
Duch swój krzepić, koić serca blizny
Myślą cichą, która gardząc pęty,
Zawsze wraca do łanów Ojczyzny.

Do Ojczyzny wraca, krwią ich zlanej;
Tam, gdzie przemoc ścmiła szczęścia zorzę...
Do Ojczyzny, co skuta w kajdany,
Z nich swej dziatwy wyzwolić nie może.

Ach ta krótka odpoczynku chwila,
Co pamięcią przeszłość im odsłania
I wspomnieniem do znojów zasila,
Jest w katordze tej: zdrojem wytrwania.

Młot znów trzeba brać w dłoń uznojoną —
...O Ojczyzno, ty nasza daleka
Patrz, i wspomnieć nam ciebie wzbroniono,
Bo tam sołdat z karabinem czeka.

...„Lecz nim znowu dłoń nasza cierpliwa
Ujmie taczki i wprawi w ruch młoty,
Do stóp twoich, Boże, nas przyzywa
Głos serdecznej i rzewnej tęsknoty.

„My o jedno Cię jeszcze prosimy,
My, wygnańcy — katorżni — my marni:
Nie o powrót do ziemi rodzinnej,
Nie o groby na ojczystej darni.

„Jeno o to, aby trumny wieko
Nie wprzód zwarło nasze znojne łona,
Aż usłyszym, że tam — tam daleko
Już Ojczyzna nasza wyzwolona.

Joanna Rossowska.

[2]) Bol. Limanowski. — Stuletnia walka Narodu polskiego o niepodległość. Lwów, 1906. — Ecnyklopedya Macierzy Pols. Lwów 1907 T. II.

Dział kobiecy.

Spódnica — pantalon.

Losy nowej mody są tak samo dziwne i rozmaite jak wszystko inne na tym Bożym świecie! Gdy przed półtora rokiem wymyślono równie niedorzeczną jak brzydką i niepraktyczną modę związanych suknią nóg, poddały się panie po krótkiej walce konieczności i zrzekły się nietylko biegania, ale nadto wygodnego chodzenia i poruszania się. Teraz mają być, tyranizowane członki wolne i — tak panowie jak i panie w straszne popadają oburzenie!

Pierwsze manekiny, które chodziły po ulicach Paryża z związanemi nogami, wyszydzono nielitościwie tak jak się to zdarza przy każdorazowem zaprowadzeniu nowej mody — ale panie, które pierwszy raz ukazały się na ulicy w pantalonach czyli szarawarach, musiała policya brać w obronę przed wstrętną publicznością. Postępowano na Bulwarach tak jak w Południowej Karolinie, gdy chodzi o lynchowanie murzyna.

A przecież, jeżeli chodzi o sprawiedliwość — to noszenie pantalonów nie jest tak nierozsądne jak związywanie nóg. Zresztą czwarta część kobiet na świecie nosi szarawary — począwszy od Eskimosek aż do Indo-Chinek i Mahometanek w rozmaitych częściach świata. Nawet mieszkanki szwajcarskich i tydolskich gór zarzuciły już podobno fałdziste spódniczki i noszą przy robocie spodnie! Nie dosyć na tem: właśnie w Paryżu, gdzie tak potępiają nową modę, nosiły panie już przed piętnastu laty pantalony na ulicy. Wówczas chodziło o jeżdżenie na kole, któremu się Paryżanki z prawdziwą oddawały namiętnością. Do tego sportu nadawają się rzeczywiście pantalony najlepiej, i widziano w nich wtenczas nietylko młode, wysmukłe i ładne kobiety, ale i postacie bardzo okazałe, przywodzące na myśl postać Johna Falstaffa...

Ale publiczność tak się do tego przyzwyczaiła, że i najsurowszy apostół cnoty nie byłby w tem widział nic zdrożnego!

Bądź co bądź — kobieta ładnie w szarawarach nie wygląda i wstręt, jaki w nas strój ten wzbudza, polega głównie na przyczynach sentymentalnych.

Przywykliśmy od dawna do tego, że ubranie odpowiada charakterowi

człowieka, i że mężczyznę, który w domu nic nie znaczy, nazywamy „mężczyzną w spódnicy.“ Kobieta natomiast, rządząca wszystkiem, domem i mężem, jest „Herod babą“ lub „kobietą w spodniach.“ W rzeczywistości jak kobiety na Zachodzie, które pantalonów nosić nie mają.

Może więc i nasze panie staną się — uleglejszemi i pokorniejszemi wobec mężów, jeżeli im panowie przyznają prawo noszenia pantalonów! na olbrzymie kufry, zawierające eleganckie tualety, a za które to kufry tyle płacić teraz trzeba!

Może owe jupe — culotte są przedwstępem do sukien skromniejszych i — tańszych? Gdyby tak było, to każdy



Św. Józef, opiekun Dzieciny Bożej.

dzieje się odwrotnie — na Wschodzie bowiem nie odgrywały kobiety, pomimo, że noszą pantalony, nigdy takiej roli jak na Zachodzie i nigdy nie było u Turków kobiety takiej jak cesarzowa Katarzyna, albo królowa Elżbieta! Może były rozmaite markizy Pompadour lub Agnieszki Sorel, lecz w każdym razie nie występowały one tam w życiu publicznem tak jak w Francyi. Turczynki zatem, noszące pantalony, nie noszą ich w takiem znaczeniu Wielce obiecująca ta możliwość usprawiedliwiłaby próbę!

Są mężczyźni, którzy nic przeciw temu nie mają, aby panie nosiły pantalony, mianowicie przy sporcie, i w podróży. Jest to praktycznie i wygodnie, i niejedna z pań mogłaby towarzyszyć mężowi w wycieczkach na góry, skały i t. d., czego w fałdzistej sukni absolutnie uczynić nie można. Niejeden też mąż wolałby z pewnością widzieć żonę w pantalonach, niż patrzeć mąż przyjąłby z zapałem nową modę!

Chwilowo należy żałować tych kobiet, które suknie — pantalony chcą wprowadzić w modę, w każdem bowiem mieście, w którem się publicznie ukazały, szydzono z nich niezmiernie, popychano je i obrzucano nawet błotem. Kto są te panie?

Dotąd sądzono zawsze, że nowe mody wprowadzają w świat damy, których obowiązkiem jest podobać się wszystkim, i które po części znane są

w podrzędnych teatrach i t. p. lokalach. Zgadza to się o tyle z prawdą, że aktorki i t. p. są tylko siłami posiłkowemi, które już wygraną bitwę rozstrzygają. Zanim na pole bitwy przychodzą i ukazaniem swojem kobiety świata cywilizowanego zmuszają do porzucenia tego, co im dotąd było drogiem, to już „manekiny" nieprzyjaciela zaczepiły i do ucieczki zmewoliły.

„Manekin" — słowo to pochodzi z niemieckiego „der Mann," oznacza jednak to, co Niemcy nazywają „Probiermamsell", czyli pannę do przymierzania. W Paryżu polega czynność manekina nietylko na przymierzaniu zamówionych tualet, lecz i na lansowaniu nowych mód. Że to nie zawsze jest przyjemnem, mieliśmy dowód przy pierwszem ukazaniu się „spódnic pantalonowych," i nieraz pewnie zdarza się, że biedne manekiny narażone bywają na śmiechy i szydercze uwagi publiczności.

Eleganckie te i zręczne dziewczyny, których suknie i fryzury cały świat damski naśladuje, nie należą więc wcale ani do towarzystwa arystokratycznego ani artystycznego. Są to po prostu miernie opłacane robotnice, do których nie należy zgoła nic z wytwornych strojów, w jakich muszą chodzić po mieście. Sprawdza się znowu i tu przysłowie, że nie wszystko złoto, co się świeci!

Jaką przyszłość mają jednak szarawary, czyli jupe-culotty, tego dziś przewidzieć nie można! W każdym razie ładniej wygląda kobieta w powłóczystej sukni, niż w pantalonach! Tego nikt zaprzeczyć nie może!

P. M.

* * *

Ażurowe pończochy.

Obecna moda sukien wązkich i krótkich, nic już nie mówiąc o sukniach-pantalonach, odsłania więcej nóżki wytwornych dam, niż na to pozwalało dawniejsze pojęcie przyzwoitości. Na dworze królowej Maryi Antoinetty nie wolno było nosić sukien zbyt krótkich — tylko czubek trzewika aż do sprzączki mógł być widzialnym. Dziś widać nietylko cały trzewik, ale nadto i kawałek pończochy, już to większy, już to mniejszy, mianowicie przy tańcu. Do eleganckiego kostyumu należy podług wymagań mody jedwabna pończocha i to ażurowa. Nie można zaprzeczyć, że pończocha taka bardzo jest ładną, lecz w Francyi, w ojczyźnie mody zaczynają panie zaniedbywać ją trochę. Do tualety wieczorowej nadaje ona się doskonale, lecz musi odpowiadać kolorowi sukni, a gorąco, jakie podczas zabaw panuje w salonach, zapobiega wszelkiemu zaziębieniu. Lecz całkiem inna rzecz nosić ażurowe pończochy na ulicy w zimie, przy dziesięciu stopniach mrozu! Wtedy otulają się panie futrami, noszą na szyi boa i ręce w ciepłych kryją mufkach, a na nogach, zbliżonych najwięcej do śniegu i lodu, mają cieniutkie przezroczyste pończochy!

Ażurowe pończochy nie należą na ulicę!

Przeszłość ich nie datuje się też jeszcze od zbyt dawnych czasów — na końcu 18-go wieku weszły w modę, a na początku 19-go wieku rozpowszechniły się dopiero po całej Francyi oraz innych krajach. Cesarzowa Józefina lubiła je bardzo i posiadała 158 par — najtańsze kosztowały 18, najdroższe 72 franków. Śmiesznie nizkie ceny, jeżeli pomyślimy, że żony i córki amerykańskich milionerów płacą dziś po 1000 franków za jedną parę jedwabnych, ażurowych pończoch, i że mają ich także po kilka tuzinów!

P. O.

HISTERYA.

Jest wiele osób, nieszczęśliwych, które niby nie wyraźnie chore, a jednak ciągle się skarżą, niby w dobrych stosunkach żyją, a uważają się za wielce upośledzone od losu, pokrzywdzone przez ludzi.

Często wpadają takie osoby w stan dziwnego, niczem nie spowodowanego przygnębienia, płaczą, nic nie mówią, na wszystko są obojętne. Wszystko je drażni, gniewa, daremne wszelkie perswazye, łagodne nawet uwagi. Najlepiej pozostawić je w spokoju, przynajmniej nie zwracać na nie uwagi, wtedy nieznacznie powracają do stanu normalnego.

Takie objawy pospolicie nazywamy chorobą nerwową czyli histeryą. Histerya jest właściwie chorobą moralną, lecz źródłem jej jest niemylnie fizyczny ustrój organizmu.

Uczeni, zajmujący się fizyologią, *) poświęcili dużo pracy zbadaniu histeryi. Według ich zdania pochodzi ten stan z nieprawidłowego składu krwi. Mówi się często o braku krwi, niedokrwistości, czyli blednicy, albo anemii tak częstej u dzieci, a mianowicie u dziewcząt. Brak krwi nie zawsze polega na zbyt małej ilości płynu krwistego, lecz na niedostatecznej ilości ciałek krwistych; krew jest wtedy zbyt rzadką i nie ożywia organizmu w dostatecznej mierze. Medycyna zaleca w takim razie zażywanie żelaza w rozmaitych płynach, ruch na świeżem powietrzu, wogóle sposób życia prosty, normalny, zbliżony do natury.

Wszelka sztuczność i gorączkowość panująca nieraz w trybie życia osób zamożnych, używających wszelkich uciech i rozrywek, źle oddziaływa na młode dziewczęta i jest powodem późniejszej histeryi. Za mało używają snu, bo zabawy ich przeciągają się przez noc całą, pracują za wiele umysłowo, za mało zaś fizycznie, doznają wiele wrażeń silnie podniecających w teatrach, na balach i t. d., zamiast używać niewinnych rozrywek na łonie natury.

Tem się tłómaczy, że najczęściej wśród osób zamożniejszych spotykamy dziewczęta dotknięte blednicą i kobiety histeryczki. Kobiety uboższe, zmuszone do pracy, prowadzą też życie w sposób więcej prawidłowy, odpowiedni prawom natury. Nie ma u nich czasu na przesadę, egzaltacyę, nerwowość i histeryę.

Stokroć godne pożałowania są histeryczki, lecz niemniej pożałowania godni mężowie ich i dzieci. Nie ma u nich ładu i spokoju domowego, nierówny humor matki i żony odbija się fatalnie na całem gospodarstwie, a najwięcej zgubnie na wychowaniu dzieci.

Wśród kobiet niezamężnych dużo jest histeryczek. Często stan histeryczny jest wynikiem tęsknoty do życia rodzinnego, niezaspokojonych marzeń i pragnień serca i wynikającej stąd pustki i osamotnienia, braku celu życia.

Te braki, objawiające się tak rozmaicie, świat ośmiesza, zamiast współczuciem darzyć istoty nieszczęśliwe którym często nie było danem skosztowanie najcenniejszych darów życia: wzajemnej miłości i szczęścia rodzinnego. Dziwactwo ich i grymasy, któremi często męczą siebie i drugich, nie pochodzą ze złośliwości, lecz są właśnie skutkiem owego niedomagania, o którem wyżej mówiliśmy.

Obok środków medycznych, zalecanych przez medycynę, należy już wcześnie oddziaływać moralnie na dziewczynki wątłe, anemiczne: nie pozwalać na płacz długi i gwałtowny ani na śmiech zbyt głośny, który siłą przezwyciężenia można stłumić. Niedobrem, a nawet bardzo szkodliwem jest

*) Fizyologia jest nauką, badającą objawy życia u ludzi, zwierząt i roślin — i tłomaczącą przyczyny i skutki tychże objawów.



Co się stało?

dla dorastających dziewczynek czytanie romansów, opisujących przygody miłosne, upojenia rozkoszy. Umysł młodej dziewczyny chciwie wchłania te wrażenia, upaja się niemi, szuka podobnych w rzeczywistości. Ileż to zboczeń moralnych, ile upadków wynikło tylko z czytania niestósownych książek!

Najdzielniejszemi środkami na histeryę i wszelkie z nią spokrewnione objawy jest nieustająca praca, praca obowiązkowa, nie dowolna, wyższy stopień oświaty, rozbudzenie uczuć szlachetnych: miłości i poświęcenia dla bliźnich, usłużność dla wszystkich, zamiłowanie drobnych zajęć domowych, szlachetna rozrywka i zahartowanie ciała.

M. G.

Budzi się ziemia.

Budzi się ziemia, budzi z ocknienia,
Choć w pętach zimy śni jeszcze,
Jakieś już nad nią płyną westchnienia,
Jakieś już wstrząsły nią dreszcze.
Już szare wróble pod nizką strzechą
Sprawiają rady i wiece,
Ich świergot zdala powtarza echo
I kry już płyną po rzece.
Powrócą wkrótce śpiewaki Boże
Do gniazd rzuconych w jesieni,
Wiosna na niebie rozpali zorze,
Ziemia się cudnie odmieni.
Woń pól przesłodka w piersi zbolałe,
Jak balsam spłynie kojąca
I każdy Bogu zanuci chwałę,
Zwracając oczy do słońca.
Bo czyż jest serce, co by nie biło
Szczerą wdzięcznością ku Bogu,
Gdy wiosna z wszystkich czarów swych siłą
Stanie u ziemi tej progu?
Bo czyż jest serce, co by tej ziemi,
W której pradziadów śpią kości,
Nie ukochało siły wszystkiemi
I całą pełnią miłości?
Ach tak, są serca, są zatwardziałe,
Zimne, nieczułe, jak z lodu,
Pieniądz stanowi szczęście ich całe,
Nie znają spójni narodu.
Ach tak, są serca zimne na cuda
Ziemi kochanej, rodzonej,
Tutaj, wśród swoich pożera nuda,
W obce popycha je strony.
Więc nim się jeszcze uśmiechnie rajem,
Nim cud roztoczy wiosenka,
Lud pierzcha jakby ptaki wyrajem,
A łono ziemi łka, pęka.
I z każdej skiby wzruszonej pługiem,
Z każdej szczeliny i grudki,
Płynie jęk cichy westchnieniem długiem,
Bolesne skargi i smutki:
„Ach czemu, czemu mnie opuszczacie,
Czyż nie słyszycie, że płaczę?
Zostańcie dzieci tu, w swojej chacie,
O, nie odchodźcie, tułacze!
Wszak co rok rodzę wam ziarna złote,
Wszakże nie zbraknie wam chleba,
Ach, nie odchodźcie tam na robotę,
Bo tu rąk waszych potrzeba!“
Ale lud głuchy na prośb tych jęki
Idzie w świat obcy i wrogi,
Tam, gdzie zapomni swojej piosenki,
Wiary i mowy swej drogiej.
Ptaki wracają kędyś z za morza,
Radosnym frunąc wyrajem,
Ale lud polski, gromadka Boża,
Bez łzy się żegna z swym krajem.
Bez żalu lud się tu stąd oddala,
Żądny wciąż wrażeń i groszy,
Wieluż powrotna wróci nam fala,
Wieluż z nich tam się rozproszy?

Paula Wężyk.

Karzełki w Polsce.

Było dawniej w zwyczaju, iż po dworach królewskich do rozrywki trefnisiów utrzymywano karzełki. W Polsce odznaczył się na tem polu wielkim talentem po sławnym Stańczyku także Gąska na dworze króla Jagiellończyka i wielką szczycił się sympatyą. Nasz poeta Jan Kochanowski następujący wiersz o nim napisał:

„Ośmdziesiąt lat (a to jest prawie wiek człowieczy),

Czekała śmierć, by Gąska prawił k' rzeczy.
Nie doczekała się; błaznem go tak wzięła,
I tąż drogą, gdzie mądrych porywa, zajęła.
Błaznuj przed się Gąsko, imię twe nie zginie,
Póki dzika gęś i swojska na tym świecie słynie“.

Podobnie jak trefnisie po dworach królewskich ważną rolę odgrywali, utrzymywano w domach wielkich magnatów karły. W Polsce nie było prawie znaczniejszego domu, gdzieby się karzeł nie znajdował.

Zwyczaj ten rozpanoszył się zwłaszcza przy końcu średnich wieków i trwał aż do końca panowania Stanisława Augusta. Jednym z najsławniejszych karłów w Polsce był Józef Borusławski.

Znalazł on gościnne przyjęcie u pani miecznikowej Humieckiej i w jej towarzystwie po obcych krajach dużo podróżował, a dla niepospolitej małości był wszędzie podziwiany. Był on 28 cali=72.8 centymet. wysoki, składną miał postać ciała, celował uprzejmością w pożyciu i był nader dowcipny w odpowiedziach. Umarł w Anglii w roku 1835, doczekawszy się rzadkiej starości, bo kończył właśnie 98 rok życia. Poprzednio wydał on we francuskim języku opis swego życia, z którego źródła dowiadujemy się, że z sześciorga rodzeństwa on tylko, brat jeden i siostra zostali karłami, trzej zaś inni bracia na normalnych ludzi wyrośli. Siostra jego jeszcze mniejsza była, bo w 20 roku życia, w którym umarła, zaledwie 26 cali = 67.6 cm. wysokości liczyła. On sam zaś rósł nieznacznie aż do 30 roku.

Przedstawiała go po różnych dworach pani Humiecka, wszędzie z podziwem na niego spoglądano, bo wielkie robił wrażenie. Nadano mu francuskie imię Joujou. Ubrany był zazwyczaj w mundur pułku jazdy buławy wielkiej koronnej i tak się uwydatnia na portretach, które w różnych stolicach malowano, a z nich jeden egzemplarz jeszcze dziś w muzeum londyńskiem podziwiają.

W opisie przygód swych podróży wspomina Borusławski między innemi o królewskich osobach nas bliżej obchodzących, n. p. o królu Stanisławie Leszczyńskim, któremu był przedstawiony w Lunéville i o Maryi Leszczyńskiej, królowej francuskiej, która go po kilkakrotnie widzieć życzyła. Hetman Ogiński, bawiący wtenczas w Paryżu, poznawszy się ze sławnym karłem pani Humieckiej, uprosił go sobie do podziw budzącej mistyfikacyi. Na hucznym bowiem obiedzie był ukryty Joujou w srebrnej wazie, na środku stołu stojącej. Na dany znak wyskoczył z niej nasz karzełek, a gdy wielki powstał krzyk i przestraszenie — zwłaszcza ze strony dam zaproszonych, na dowód, że nie był złym duchem, obnosił im cukry na małym talerzyku i łagodnie przemawiał.

W Lunéville przykre miał Borusławski spotkanie. Był tam na dworze króla Stanisława inny karzeł, imieniem Bébé, Francuz rodem i słynny także z małości. Ten zmierzywszy się z naszym Joujou, gdy się okazało, że on jeszcze o cztery cale był niższym, tak gwałtowną uczuł zazdrość, że gdy raz sami stali przy kominie, porwał za nogi małego gościa i gwałtem go chciał w ogień wrzucić. Na krzyk biednego Joujou przybiegł sam król Stanisław, uratował uciśnionego, skarcił surowo zazdrośnika i skazał go na publiczne przeproszenie. Uczynił to Bébé, ale z takim przymusem i wstrętem, że popadł następnie w ciężką chorobę i wkrótce umarł.

Powróciwszy z panią Humiecką do Polski z nabytą już wielką sławą, Borusławski stał się w Warszawie powszechnym przedmiotem ciekawości i upodobania, gdzie też błogie spędzał chwile. Naraz w przeszło 30 roku życia, gwałtowny popęd miłości skłonił go do jednej z panien, na dworze pani Humieckiej bawiących. Wyśmiany i wzgardzony po pierwszem oświadczeniu, umiał wszelako stałością i wytrwaniem wszystkie pokonać trudności. Uzyskał wreszcie przywiązanie ulubionej mu osoby i postanowili się połączyć węzłem małżeńskim.

Gdy jednak pani i opiekunka ich przeciw temu silnie się opierała, tajemny ślub zawarli. Skoro atoli sprawa ta wyszła na jaw, stracili całkiem łaskę u swej pani. Wyrzekła się ich, oddaliła z domu i wkrótce ujrzeli się bez sposobu do życia.

W tem opłakanem położeniu porzucił Borusławski wraz z żoną kraj polski i udał się do obcych stolic, gdzie biedą przygnębiony, mimo największego wstrętu, pokazywać się musiał za pieniądze. Pokazywała go żona, nosząc nieraz męża jak małe dziecko na ręku w publicznych lokalach. Znalazłszy nakoniec nasz biedny Joujou wspaniałych opiekunów w Anglii, tam na resztę życia stale zamieszkał. Dobre było przez długi czas pożycie jego z żoną i lubo ich Pan Bóg dziećmi obdarzył — później jednak się z nim rozstała.

Marta Hubicka.

DZIECI.

Na chrzcie świętym dano mu imię Oskara; z biegiem czasu jednak stary stróż Gacek nagiął obce brzmienie i ujął je w snać dla siebie łatwiejszy dźwięk: „Ackarza“, a stara posługaczka Franka, do której prócz zamiatania szkoły i palenia w piecach należała reprezentacya niższej władzy szkolnej, w przystępie rozrzewnienia, gdy obiecujący ten młodzieniec w smutny dzień zimowy odsiadywał „kozę,“ nazwała go „Roznarkiem.“

— A to prosę pani Roznarek siedzi w skole zamknięty i tak straśnie płace — la Boga —jakże to? takie pańskie dziecko...

Łyżka zupy, którą nauczycielka niosła do ust, przez chwilę zawisła nieruchomo w powietrzu. Socyalne położenie „Roznarka“ przyznać trzeba, nie miało najmniejszego wpływu na postanowienie „pani,“ która rzuciwszy obiad, szybko zbiegła po schodach na dół, by odesłać do domu płaczące dziecko.

Rzeczywistość jednak nie poraz pierwszy wprawdzie, lecz tym razem oryginalnie ścięła lodem jej rozrzewnienie.

W pierwszej chwili po otwarciu drzwi zobaczyła tylko hen w górze wierzgające nogi, któremi Roznarek stojąc na rękach na pulpicie szkolnej ławki usiłował się zaczepić o gzyms pieca. Ćwiczenie to gimnastyczne, połączone z głośnem gwizdaniem, nie miało w sobie wprawdzie greckiej harmonii ruchów, niemniej dowodziło jego wewnętrznej, helleńskiej pogody...

Rósł więc Oskar — Ackarz — Roznarek — wprawdzie trudno twierdzić, by w jakiejkolwiek boskiej, czy ludzkiej bojaźni, gdyż uczucie to długo było mu nieznanem, ale w podartych na kolanach pończochach, w glinie i trawą powalanem ubraniu — zupełnej beztrosce o swoją powierzchowność.

Wczesną wiosną, gdy tylko znikł śnieg, a słońce przygrzało, odbywały się układy z matką, w których niezłomną wolą i niezłomnemi poglądami celował młodszy brat Oskara Janek.

— Mamusiu! już ciepło, będę boso latał!...

— Ani mi się waż — widzicie, go w marcu chce boso chodzić...

— Co mamusia „powiła?“ — pyta

chytrze dla zyskania czasu Janek.

Oskar przy swoim stoliku uczy się historyi biblijnej — że zabrał się do tego mniej więcej na pięć minut przed pójściem do szkoły, więc nawet tak żywotną kwestyę, jak zrzucenie butów puszcza mimo uszu.

Nagle zjadliwą krytykę mamusi, co do używania przez Janka słowa „powiła," przerywa płaczliwy głos Oskara, w którym drży nuta szewskiej pasyi.

— I! co to jest bawołek, bo znów nie wiem!...

Okazuje się, że ów „bawołek" to już Bogu ducha nie winien, bo oddał go przed dwoma tysiącami lat — pachołek arcykapłański.

— Oskar! idziesz ty na religię! brzmi uprzejmie zaproszenie z drugiego pokoju.

* * *

Oskar, wykonawszy mimochodem kilka dzikich skoków, porwał zniszczoną czapkę i puścił się galopem do szkoły, aby w dalszym ciągu zastanawiać się nad kwestyami w rodzaju owego „bawołka."

Janek, pozostawiony sobie, trzasnął z odpowiednią nastrojowi siłą drzwiami i w łazience dokonuje szybko przemiany tualety na kostyum lipcowych upałów i w parę minut boso i bez kapelusza zostawia za sobą dom daleko.

W pobliskim lasku bawią się pod dozorem bony dwaj cioteczni bracia Janka: — Kazek wymawiający swe imię: Gazek i młodszy Tadzio.

Janek chłopców tych w głębokiej ma pogardzie. Bona, czy niańka są to w jego pojęciu istoty wsteczne, krępujące wolne poloty ducha, a dwaj wspomniani chłopcy zatracali zupełnie samodzielność pod tyle niestosowną niewieścią strażą.

Wszak on miał zaledwie dwa lub trzy lata, jak niknął z domu na parę godzin i często odbierano go z rąk woźnicy, który miniaturowe rączki dziecka okręcał lejcami i trzymając je przed sobą pozwalał wierzyć, że samo powozi. A ileż to razy, gdy trochę podrósł, rozjaśniała niebieska bluzka szarą, zoraną świeżo rolę, a kilkuletni dzieciak z komiczną powagą wspierał małe nóżki w miekką grudę i wywijając batem nad jarzmem wołów wołał: Hop! ha — ho!

Zamykano go za karę w łazience, ale jeżeli spłakany nie usnął, napewno zmylił czujność mamusi, całego sztabu nianiek i ciotek i za godzin parę znów w oddali jaśniała błękitem bluzka i brzmiał po roli świeży śmiech dziecka.

Miał Janek od najwcześniejszych lat dwoje przyjaciół, którzy nie zawodzili go nigdy: to woźnica Michał i kuzynka Janka, nauczycielka miejscowej szkoły. Wpajaną mu nazwę: pani — Janek przełożył na „Nipa" i tak ją stale nazywał.

„Nie samym chlebem" żył Janek — kwestye metafizyczne wcześnie zajmowały młody umysł, a wątpliwości swe poddawać zwykł pod światły sąd Oskara.

— Oskar — wiesz — mówiła mi Rózia, że wszystko co jest na świecie, to jest Pana Boga...

— Eh! głupiś Janek — przecież niektóre rzeczy są moje — przecina kwestyę, jak nożem, Oskar.

Więc lubił Janek i bajki, a bajki opowiadała Nipa; powrót na łono przyrody zademonstrowany bosemi nogami nastroił go poetycznie i oto teraz szturknąwszy Kazka i wykrzywiwszy się oburzonej bonie, poszedł jej szukać w gęstych zagajnikach.

— Husiak! — woła na przechodzącego stróża — nie widzieliście Nipy?

— Nijokiej Nipy nie widział.

— A panny Martyście nie widzieli?

— I co mi ta głowę zawracasz.

* * *

— Nipa — widzi Nipa — boso jestem — bo już wiosna, a „laczego" Nipa nigdy boso nie chodzi?

— Janek! bój się Boga jeszcze zawcześnie. A co dziecko chciało?....

— Nipa, bajkę tę o wilku...

— Ii — takiś stary, a o wilku chcesz...

— No to Nipa o „karzewkach" albo... e Nipa o wilku i już... — i prośbie tej towarzyszy szczery całus, którym po bratersku dzieli się z Nipą nie zupełnie jeszcze zaschniętem na buzi powidłem.

W czasie tej sceny przez nieulistnione jeszcze krzaki przedziera się z determinacyą Kazek, nie zważając na rozpaczliwe wołania bony i staje w przyzwoitej odległości od Janka.

Palec w ustach, wzrok nieśmiały, ale nadrabia miną i pyta:

— Nipa — Nipa bajkę mówi?

— Idź Kazek nie „la" ciebie, „la" mnie Nipa mówi.

— Widzisz Janek, tak nie można. Kazek też będzie bajki słuchał.

Ale ja będę na kolanach, bo... bo ja jestem Nipowy.

— W lesie, wielkim lesie, w małej chatce mieszkała dziewczynka, której mama darowała czerwony kapturek...

Uwagę ich jednak przerwał Oskar, który wywijając torbą z książkami nad głową, wołał:

— Ho, ho! Witek przyjeżdża — jego tatuś i mamusia jadą dalej do Wiednia — babcia pojechała po niego na kolej...

— No to będziecie znów Witka prali, ale to wam odrazu zapowiadam, że ani jednej bajki nie powiem, jak go który uderzy.

— A bo „laczego?"

— Bo malutki i nie może się z wami bić.

— E — e — Nipa on i tak mocno bije i pluje na nas.

* * *

Zmrok — podłoga dużego pokoju zamieniona w pobojowisko. W strasznym nieładzie walają się ołowiani żołnierze. Mało który z nich jednak może się poszczycić rzeczą tak niezbędną, jak głowa — przeważnie utraciwszy ją, w pierwszych potyczkach idą w bój z wiarą o dobrą sprawę, chociaż bez głowy — zwyczajnie żołnierze.

Tam z szeregu krzeseł wyciągnął się krzywą linią pociąg wzdłuż pokoju. Jaśnieje purpurą poduszek z kanapy klasa pierwsza, czerni się ceratową torbą kucharki klasa druga, a za niemi biegnie cały szereg wagonów, dla których i poduszki z kanapy i torba kucharki są zbyteczne.

* * *

Przesiąkłszy wilgocią marcowych powiewów, płonąc purpurą młodego słońca, idzie na ziemię cichy wieczór. Lśni się i krwawi woda w bruzdach pełnych, a tętniące życiem gałązki drzew delikatnie rysują się na złotem, cichem niebie.

— Chłopcy do domu!

— Wi! ha! ha! wpada w lejce zaprzegnięty Janek z Witusiem — w drzwiach katastrofa.

— No, puść!

— Nie pchaj się!!

— Niezdara!

— Cioci! on mówi, że ja niezdara!...

— Cicho! bawcie się na werandzie! bądźcie grzeczni, to pojedziemy jutro konikami.

— O! my będziemy.

* * *

Bona Kazka wierna męczeńskim obowiązkom umieszcza krzesło w drzwiach kuchni i oddaje się rozkosznej pogawędce z kucharką — za chwilę jednak twarz jej płonie purpurą a oczy rzucają błyskawicę.

— Bona! wrona! bez ogona!

— Bona! wrona! bez ogona!

— No! to już za wiele...

I biedny Kazek ponosi cały ciężar kary, umieszczony przez bonę za jej krzesłem spogląda łzawo na bawiących się braci.

— Wit! Spyt! Parafit!

— Wit! Spyt! Parafit!

brzmi w takcie: żołnierz, żołnierz idę do domu!...

— No nie przerywaj! Ty nie mów tak!

— Wit! Spyt! Parafit!...

* * *

Lazurowe oczęta zamigotały, na czołko amorka wybiegły silne, błękitne żyłki, drobne piąstki podniósł w górę i z zaciętemi ustami rzuca się Wituś na chłopców...

— Ty! będziesz bił!!

Walka zawrzała. — Gazek rzuca stanowisko za krzesłem i z radosnym okrzykiem:

— Ho! ho! tam się biją !tam się biją! rzuca się w wir bitki, Witek drze się jak opętany; radosne okrzyki zwycięzców, nawoływania bony i kucharki, pisk małego Tadzia wywabia z głębi domu ciocię, która zalanego łzami Witka wydziera z rąk oprawców i mówi smutno:

— Ładnieście byli grzeczni...

— On zaczął!

— Oni mnie przezywali Parafit!

Ciocia przygryza wargi.

— A kto był dla bony niegrzeczny?

— My... nie.... kiedy?....

— No! no! Ej! chłopcy, mówiłam, że ani jednej bajki nie opowiem.

Ale Janek wie, że jego błękitne oczęta mają nad rozgniewaną ciocią dziwną moc, więc tylko je podnosi w górę i zarzucając jej rączki na szyję cichutko prosi:

— Nipa...

— Oj syn, stary syn! — mówi cicha ciocia i całuje jasną główkę...

* * *

Mała kanapka w rogu pokoju, nad stołem płonie wielka lampa. Dzieci zmęczone zabawą obsiadły Nipę.

Wituś, patrząc jej śmiało w twarz prosi basowym głosem, robiącym komiczny efekt przy drobnej figurze:

Cociu Nipo, powiedz-no bajkę!

— A o czem?

— A o maszynie.

— Co? o maszynie... ha! ha! ha!

— Ty się nie śmiej, tylko opowiadaj, jak ci kto mówi — brzmi poważne upomnienie, skierowane do cioci — powrotna fala przestróg mamy, czy tatusia.

— I... głupiś Witek — bajkę o maszynie... ironizuje Janek.

— Cicho chłopcy! a coby chciał Oskar?

— Ja — o królach — tych prawdziwych.

— A ja, Nipo, o wilku... — prosi Janek.

— E! głupieście wy! decyduje Kazek i ucieka z pokoju.

Ciocia, chcąc odwrócić uwagę od niezbyt dla niej pochlebnej opinii Kazka, pyta:

— Wituś, żal ci za mamusią?

— A za którą?

— No za twoją.

— Nie...

— Czekaj napiszę do twojej mamusi, żeby ci nic z Wiednia nie przywiozła — grozi Oskar.

— Dla czego? jak mu nie żal, nie powinien mówić, że mu żal — decyduje ciocia Nipa.

Błękitne oczy Janka patrzą błagalnie, cicho do ucha Nipy mówi coś prędko i dużo, całuje ją w uśmiechnięte usta....

— — — W lesie, wielkim lesie, w małej chatce mieszkała dziewczynka, której mama darowała czerwony kapturek...

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 19-go marca 1503 śmierć Fryderyka Jagiellończyka, kardynała. — 1744 śmierć królowej Katarzyny Leszczyńskiej. — 1767 konferencya toruńska. — 1790 zasady konstytucyi sankcyonowane. — 1832 śmierć Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich.

Dnia 20-go marca 1605 uwolnienie Smoleńska od oblężenia Moskwy. — 1673 śmierć Augustyna Kordeckiego. — 1760 zaślubiny księcia Karola z Franciszką Krasińską. —1848 uwolnienie Polaków z więzienia w Moabicie. — 1848 utworzenie w Poznaniu Komitetu narodowego.

Dnia 21-go marca 1080 śmierć Bolesława Śmiałego. — 1416 śmierć Anny drugiej żony Władysława Jagiełły. — 1609 urodzenie Jana Kazimierza.

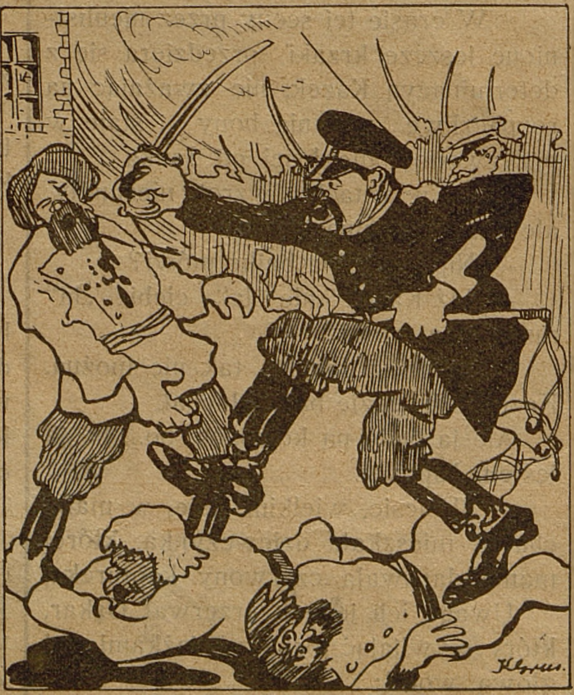
Dnia 22-go marca 1387 nadanie Wilnu prawa magdeburskiego. — 1604 Karol Suderman ogłasza się królem szwedzkim. 1656 Szwedzi odpędzeni od Częstochawy. — 1831 walny zjazd obywateli polskich w Michałówce.

Dnia 23-go marca 1576 książę Maksymilian zaprzysięga pacta conventa. — 1589 śmierć Marcina Kromera, biskupa warmińskiego.

Dnia 24-go marca 1797 powstanie i przysięga Kościuszki w Krakowie. — 1863 potyczka Lelewela (Borelewskiego) z Moskalami pod Krasnobrodem.

Dnia 25-go marca 1683 hołd Fryderyka, księcia kurlandzkiego. — 1831 wybuch powstania na Żmudzi, Litwie, Ukrainie i Podolu.

I.
Uroczystości jubileuszowe w Rosyi.



Igrzyska uliczne.

Humor i satyra.

Cześć miłosierdziu!

Witaj nam śledziu, na którego grzbiecie
Sztandar powiewa, głosząc koniec balom,
Tańce, zabawy skończyły się przecie
I miejsce dane dziś jest gorzkim żalom.
Przyznajmy — z głową popiołem zsypaną,
Że tańcem dużo dobrego zdziałano.

Dla głodnych tylko zapełniano sale,
Dla głodnych tylko drogie wino pito,
Dla głodnych w tańcu flirtowano w szale,
Dla głodnych — płacąc należne im myto —
Szły w towarzystwie swych córek dorodnych
Matki na bale... li tylko dla głodnych.

Gdy gorzkie żale dziś już nastąpiły,
Obmyślcie nowe rauty i zebrania,
Niechże tym głodnym, co wzmocnili siły,
Nowa zabawa ich biedę osłania.
Niechże do serca wam to zdanie wchodzi:
Karmisz głodnego — to biednego odziej.

* *

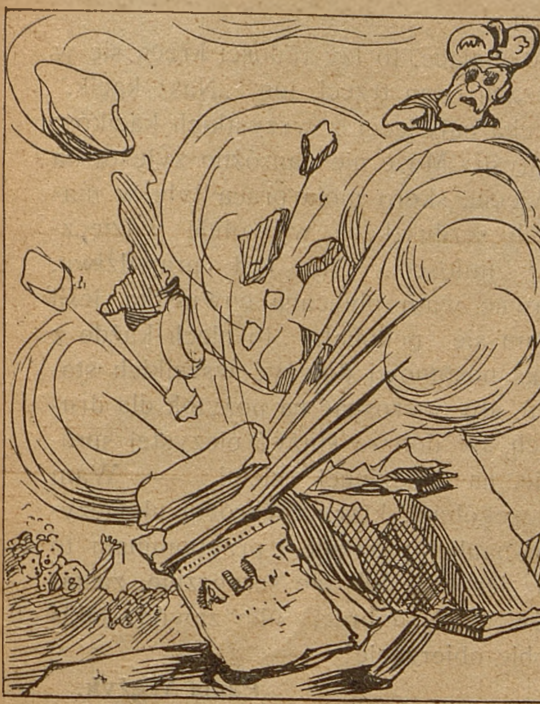
Uprzejma małżonka.

Do malarza przychodzi z mężem młoda, energiczna kobieta.

— Proszę pana, — mówi — wymalować jego portret z figą w ręku.

— Cóż znowu! — woła oburzony mistrz pendzla, — chciała pani zape

Uroczystości jubileuszowe w Rosyi. II.



Wdzięczny lud wynosi swego dobroczyńca pod niebiosa.

wne powiedzieć z książką, lub ostatecznie z laską.

— Bynajmniej, chcę go mieć na obrazie koniecznie z figą.

— A to dla czego? jeżeli się zapytać wolno.

— Bo to mu nie dozwoli zapomnieć o tem, czem był dla mnie w życiu.

* * *

Sentencya dobroczyńcy.

— A więc ten Wyłudziński, któremuś pan tyle dobrodziejstw wyświadczył — tak się panu brzydko odwdzięczył?...

— Ba, gdyby można liczyć na wdzięczność ludzką, miłosierdzie byłoby wcale niezłym interesem, a tak to jest tylko zabawką, sportem.

Uroczystości jubileuszowe w Rosyi. III.



Bezpłatne widowiska ludowe.

* * *

Co kto woli?

Entuzyastka. Ależ panie Szwarckopf, pański syn gra na skrzypcach jak Sarasate.

Arytmogryf.

Ułożył czytelnik „Pracy“ Sarmata z obczyzny.

Cyfry zastąpione literami dadzą 19 wyrazów, których środkowe litery utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

4
8 **16** 8
2 6 **8** 10 8
4 16 8 **12** 14 17 8
10 20 12 20 **14** 17 1 3 5
2 7 3 **20** 9 11 5
20 13 **3** 15 12
13 **5** 17
19 16 **15** 21 8
13 8 6 **19** 8 12 17
16 15 **19** 20 12
16 **8** 19
10 15 **16** 11 20
22 8 2 **23** 8 16 21
22 20 24 14 **20** 7 12 7 3
25 22 20 **26** 3 19 20
14 20 **3** 3 8
7 **19** 7
20

Spółgłoska.
Gatunek papugi.
Miasto w gubernii płockiej.
Państwo w Europie.
Bohater z powieści Sienkiewicza
Metal
Pisarz duński.
Rośliny krzyżowe.
Wyspa.
Góry w Europie.
Ryba morska.
Skorupiak.
Kompozytor włoski.
Zwierzę z rodziny kotów.
Zwierzę latające.
Poeta polski.
Dopływ Dunaju.
Organ ciała.
Spójnik.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 23-go marca włącznie.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie zagadki do powyżej wyznaczonego terminu.

Rozwiąz. zadania konikowego z nr. 10.

W uśmiechu każdym zaparłem siebie.
Zaparłem gorycz com ją wciąż pił.
Raz tylko jeden na mojem niebie
Promyk radości jasno się lśnił.

Powyższy wiersz znajdue się jako motto w „Ramotach i Ramotkach“ Augusta Wilkońskiego

Dobre rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. i. do 9-go b. m. włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: p. W. S — d — i.

Z PROWINCYI: p. Władysław K. z Gniezna.

Z GALICYI: p. Hipolit Wodecki z Ropczyc.

Z OBCZYZNY: pp. Walenty Wawrzynkiewicz z Berlina i Józef Radwański z Wiednia.

Nagrodę otrzymali: pp. Hipolit Wodeski z Ropczyc, Walenty Wawrzynkiewicz z Berlina i Józef Radwański z Wiednia.

NASZ KĄCIK.



Prośba do św. Józea.

O, Opiekunie Dzieciny Bożej,
Święty Józefie, dobry Patronie,
Przed Tobą każde z nas dziś się korzy,
Z czcią i miłością schylamy skronie.
Jak świat szeroki i jak daleki
Wszędzie, gdzie tylko polska jest strzecha,
Wszyscy pragniemy Twojej opieki,
By z nas w przyszłości była pociecha.
O, kieruj nami, niech młode lata
Płyną nam wzorem Bożej Dzieciny,
Zabawę z pracą niech piosnka splata,
Łącząc w nauce życia godziny.
O, niech naprożno nie płyną chwile,
Z których rachunek zdać będzie trzeba,
Myśmy jak płoche, lekkie motyle,
Patronie, kieruj Ty nami z nieba!
Strzeż usta nasze, oczy i uszy,
Abyśmy mieli czyste sumienie,
Niech się zło wszelkie o nie rozkruszy,
Niech w niem nie gości pomrok, ni cienie.
Święty Józefie, jak szereg zwarty
Tę prośbę polskie zanoszą dzieci
Z nad Wisły, Odry, Prosny, Brdy, Warty,
Obry i Mątwy, Gopła, Noteci,
I hen, z obczyzny prośby te płyną,
Szumem ku niebu niosą je rzeki,
O, tam nad polską czuwaj dzieciną
I nie wypuszczaj ze swej opieki!

P. W.

Trzy kąciki.

Prawdziwa powiastka.

Dużo, dużo cudnych wiosenek minęło już od owego dnia, gdy na świat przyszła malutka dziewczynka. Była ona już szóstą z rzędu córką, więc nikt jej radośnie nie witał, nikt się nie ucieszył, a starsze siostry były nawet małemu gościowi wcale nie rade. Mała osóbka naturalnie wtedy jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy i później dopiero, kiedy już miała dwa, trzy latka zrozumiała to i usuwała się z drogi do ulubionego kącika. W kąciku, pod oknem stał maleńki stoliczek z krzeseleczkiem, tam dziewczynka siadała najchętniej. — Jakże była szczęśliwą, gdy ktoś położył przed nią na stoliku duży kawał papieru i ołówek! Wtedy całemi godzinami siedziała cichutko i wodząc ołówkiem po papierze wyobrażała sobie, że coś pisze i nic do koła siebie nie widziała i nie słyszała choć do niej mówiono. — Mijały latka, ale dziewczynka była wątłą i chorowitą, więc lekarz nie pozwolił jej męczyć nauką. Raz dostała ona w podarku ruchome abecadło, to jest literki drukowane na oddzielnych kawałkach tektury. Póty je dziewczynka cierpliwie przesuwała i układała na różne sposoby, aż się sama czytać, a wnet potem i pisać nauczyła. O, teraz już nie nudziła się nigdy. Z pokorną minką prosiła wszystkich o papier i pisała, pisała i czytała ciągle. Zwłaszcza przed imieninami mamy i sióstr miała wiele roboty, układała wierszyki z powinszowaniem od siebie, lalki i mopsiczki Azy. W dniu imienin wiersze przepisane na ładnym papierze i związane wstążeczką przytwierdzała mała pisarka do rączki lalki i łapki Azy i tak ruszał uroczysty pochód, bo Aza była wyuczona chodzenia na dwóch łapkach. Mama i siostry cieszyły się z niespodzianki i powinszowań, dziękowały dziewczynce, głaskały Azę i zadowolone wracały obie, Aza do swego koszyczka, do kącika dziewczynka. Miała ona jeszcze jeden ulubiony kącik, stała tam śliczna, oszklona szafeczka, a w niej skarby jej wszystkie: Na półeczkach książki poukładane porządnie, a na wierzchu szafki urządzony ołtarzyk. Było tam kilka figurek, kilka obrazków świętych, maleńkie wazoniki z kwiatkami i takież lichtarzyki z kolorowanemi świeczkami. Gdy w pobliskim kościele dzwoniono na „Anioł pański,“ dziewczynka zapalała je i pobożnie odmawiając ulubione pozdrowienie anielskie prosiła Najświętszą Pannę bardzo, bardzo serdecznie, nie o szczęście dla siebie, lecz aby jej dała wyrosnąć na pociechę dla matki i aby mogła swym bliźnim stać się użyteczną. — Znów mijały kolejno cudne wiosenki, lata, jesienie i zimy, dziewczynka rosła i stawała się coraz starszą, a dawne jej zamiłowanie wzrastało z nią razem i nie przestawała prosić Najświętszej Panny: Dopomóż mi Boża Rodzicielko, abym mogła być użyteczna dla mych bliźnich na rodzinnej ziemi!

Najświętsza Panna próśb tych wysłuchała widocznie. Oto teraz owa dawna, mała dziewczynka znów siedzi w kąciku i pisze dla kochanych drogich dzieci, a gdy z wszystkich stron odbiera od nich liściki takie serdeczne i kochające, to łzy radości kręcą się w oczach i ten trzeci, ten „Nasz kącik,“ kocha najwięcej z wszystkich kącików i myśli: Może nie naprożno żyję tu na świecie, skoro moja praca tyle w małych serduszkach wywołuje wdzięcznej miłości... Oto jest prawdziwa, dawno wam obiecana powiastka, jeśli wam się podobała, to niech każde z was postanowi dołożyć wszelkich starań, aby wyrosnąć na pożytek dla drugich, by dobrze służyć ojczystej sprawie, na rodzinnej ziemi. — Wam szczególniej, którzy wkrótce ukończycie naukę w szkole, przypominam to raz jeszcze i proszę serdecznie, zastanówcie się dobrze, nim zawód jakiś sobie obierzecie!

Paula Wężyk.

Odpowiedzi na listy.

Izia Długołęcka z Brodnicy. Twoje rozwiązanie zagadki nadeszło tak późno, że zaledwie tylko nazwisko mogło być umieszczone, teraz więc odpowiadam ci Iziu, że bardzo się cieszę, że „Kącik“ ci się podoba. Napisz na drugi raz więcej!

Adzia i Lodzia Bartz w Łagiewnikach. Nie gniewam się drogie dziewczynki, że nie rozwiązałyście zagadki, nie gniewam się tym więcej, że dałyście dowód pilności przysyłając wypracowanie wcale nie źle napisane. Ćwiczcie się i nadal w pisaniu, ja zawsze z radością liściki wasze czytam.

Irenka Koperska w Kostrzynie. Bardzo mnie ucieszyłaś droga Irenko donosząc o tem, że stosując się do mej rady wyrzekłaś się słodyczy i postanowiłaś na nikogo się nie gniewać. Niech ci Pan Bóg dopomaga, bo tak ćwicząc swą wolę wyrośniesz na dzielną kobietę.

P. W.

Zagadka.

Wprost to służy do opału,
Wspak czyń dziecię, lecz pomału;
Byś nie padło, nie złamało
Nóżkę, albo rączkę małą!
Ot i zagadka gotowa,
Podwójny sens się w niej chowa,
Choć cała z jednej sylaby. —
Czy odgadniecie ją aby?

P. W.



Tajemnica morza.

1)

Uciekająca skała.

Nie zapomniano zapewne dotąd wypadku dziwnego, niepojętego i trudnego do objaśnienia zjawiska, jakiem się odznaczył rok 1866. Nie mówiąc już o pogłoskach niepokojących ludność portów i zajmujących ogół na wszystkich lądach, dodać wypada, że marynarze byli najmocniej zaniepokojeni. Kupcy, dowódzcy okrętów, sternicy statków europejskich i amerykańskich, oficerowie marynarki wojennej wszystkich krajów, a nawet rządy różnych państw obu lądów, do najwyższego stopnia zajęci byli tem wydarzeniem.

Od niejakiego czasu okręty napotykały na morzu jakąś „rzecz ogromną", przedmiot długi, kształtu wrzecionowatego, niekiedy świecący, nieskończenie większy i szybszy od wieloryba.

Dnia 20 lipca 1866 roku, parowiec „Higginson", spotkał tę masę poruszającą się w odległości pięciu mil na wschód od wybrzeży Australii. Kapitan Beker sądził zrazu, że trafił na skałę nieznaną; już nawet zabierał się do oznaczenia dokładnego jej położenia, gdy wtem dwa słupy wody ze świstem tryskać zaczęły z tego niepojętego przedmiotu, na wysokość pięćdziesięciu metrów. Jeśli zatem we wnętrzu tej skały nie było ukryte źródło gorące, wybuchające peryodycznie, to okręt widocznie miał do czynienia z jakiemś ssącem wodnem zwierzęciem, nieznanem dotąd, wyrzucającem przez swe nozdrza słupy wody zmieszanej z powietrzem i parą.

Takiż sam fakt zauważył dnia 23 lipca tegoż samego roku, na morzach oceanu Spokojnego „Kristobal-Kolon". Tak więc ten nadzwyczajny wieloryb mógł się przenosić z miejsca na miejsce z szybkością zadziwiającą — bo w przerwie trzech dni tylko, „Higginson" i „Kristobal-Kolon" widziały go na dwóch punktach, na siedmset mil morskich od siebie oddalonych.

W piętnaście dni później, o dwa tysiące mil stamtąd, „Helvetia" i „Szannon", płynące z różnych stron po oceanie Atlantyckim pomiędzy Europą i Stanami Zjednoczonemi, przy spotkaniu zawiadomiły się nawzajem o dostrzeżeniu potwora. Z tych opowiadań można było oznaczyć długość zwierzęcia co najmniej na 110 metrów, gdyż „Szannon" i „Helvetia" były mniejsze od niego, jakkolwiek każdy z tych statków miał sto metrów długości. Największe wieloryby nigdy nie miały więcej jak 55 metrów długości.

Takie wieści, jedne po drugich nadchodzące, poruszyły i zaniepokoiły świat. W krajach lekkiego humoru, jak Francya, żartowano ze zjawiska — ale kraje poważne i praktyczne, jak Anglia, Ameryka, żywo się niem zajęły.

Potwór stał się modnym przedmiotem rozmowy we wszystkich punktach, w których się liczniej ludzie schodzili. Śpiewano o nim w kawiarniach, szydzono zeń w dziennikach, grano o nim sztuki w teatrze. Gazety jedne za drugiemi powtarzały niezwykłe baśnie o istotach urojonych i olbrzymich. Wybuchła nadto polemika w zgromadzeniach uczonych i dziennikach naukowych. „Potwór" zapalał umysły, dziennikarze w walce z kolegami wylali morze atramentu na papier.

Przez sześć miesięcy walka trwała zawzięcie, potem przycichła. W pierwszych miesiącach 1867 r. kwestya zdawała się być stanowczo pogrzebaną — aż znów odrodziła się. Nie chodziło już wtedy o rozwiązanie pytania naukowego, ale o uniknienie rzeczywistego i bardzo groźnego niebezpieczeństwa. Potwór stał się teraz wysepką czy skałą, ale skałą uciekającą, niepochwyconą, nieokreśloną. Dnia 5 marca 1867 roku, okręt „Moravian" uderzył prawym bokiem swej tylnej części o skałę, której w tem miejscu żadna karta nie oznaczała. Pędził on z ogromną szybkością przez morze. Doskonałej więc tylko budowy spód „Moraviana", jakkolwiek przedziurawiony przy tym wypadku, ocalił okręt od zatonięcia, wraz z 237 podróżnymi, których wiózł do Kanady. Zapisano jak najdokładniej położenie tego miejsca i „Moravian" płynął spokojnie w dalszą drogę. Gdy opatrzono dobrze zewnętrzny spód okrętu, okazało się, że belka przez całą długość spodu idąca, w części była strzaskaną.

O zdarzeniu tem, jakkolwiek bardzo ważnem, zapomnianoby, jak o tylu innych, gdyby się nie było powtórzyło w trzy tygodnie później. Dnia 13 kwietnia 1867 roku, przy spokojnym stanie morza i wietrze sprzyjającym, okręt „Szkocya" płynął z wielką szybkością z Ameryki do Anglii. O godzinie 4 popołudniu uczuto lekkie wstrząśnienie od spodu przy kole z lewej strony okrętu. Okręt nie uderzył, ale był uderzony przez coś ostrego i dziurawiącego. Potrącenie tak zdawało się lekkiem, że niktby na nie uwagi nawet nie zwrócił, gdyby nie krzyk służby, która wpadła na pomost, wołając: „Toniemy! toniemy!" Zrazu podróżni bardzo się przelękli, ale uspokoił ich kapitan Anderson, że niebezpieczeństwo nie mogło być groźne, okręt bowiem podzielony był na siedm przedziałów i w żadnym wypadku woda nie mogła się do całego wnętrza przedostać. Kapitan Anderson udał się natychmiast na spód okrętu i zobaczył, że piąty przedział zalany był wodą, a gwałtowność jej przypływu dowodziła, że przedziurawienie musiało być znaczne. Kapitan Anderson kazał jednemu z majtków nurkować dla rozpoznania uszkodzenia; w chwilę potem dowiedziano się, że w zewnętrznym spodzie okrętu jest dziura na dwa metry szeroka. Takiego otworu nie można było zatkać naprędce; parowiec przeto z kołami do połowy zanurzonemi, musiał dalszą odbywać drogę. Gdy okręt wpłynął do portu, inżynierowie przystąpili do obejrzenia tegoż, i własnym nie wierzyli oczom. Na półtrzecia metra głęboko pod częścią statku nie zanurzającą się, ujrzeli rozdarcie foremne w kształcie trójkąta równoramiennego; blacha żelazna tak była przekrajana, jakby jakiem bardzo ostrem narzędziem, które przeszywszy blachę na cztery centymetry grubą, cofnęło się samo, trudnym do zrozumienia ruchem wstecznym.

Takim był ten ostatni fakt, który do najwyższego stopnia zainteresował na nowo uwagę powszechną. Odtąd słusznie, czy niesłusznie „potwora" obwiniano o zgubę każdego okrętu, a ponieważ z tego powodu drogi pomiędzy różnemi

lądami stawały się coraz mniej bezpieczne, głos powszechny zaczął się stanowczo domagać, aby nareszcie pomyślano o uwolnieniu mórz od tego strasznego wieloryba.

Jak się znalazłem na morzu?

W czasie gdy zaszły te wypadki w roku 1867, powracałem z wycieczki naukowej do niezdrowych okolic Nebraska w Stanach Zjednoczonych, dokąd mnie rząd francuski wysłał. Po sześciu miesiącach spędzonych w Nebraska, obładowany szacownemi zbiorami przyrodniczemi, przybyłem do Nowego Jorku pod koniec marca. Odjazd mój do Francyi oznaczony był na pierwsze dni maja, oczekując zatem terminu, zająłem się uporządkowaniem moich zbiorów, gdy właśnie zdarzył się wypadek z okrętem „Szkocya“.



.... Pojedziemy na fregacie „Abraham Linkoln“.

Byłem doskonale powiadomiony o całym stanie rzeczy, i nie mogło być inaczej. Odczytywałem niejednokrotnie wszystkie amerykańskie i europejskie dzienniki, a nic się z nich naprawdę w tym względzie nie dowiedziałem. Przypuszczenia o wyspie pływającej, o skale niepochwyconej, stanowczo odrzucono. W rzeczy samej, jeśli ta skała we wnętrznościach swoich nie miała machiny, to jakże mogła przenosić się z miejsca na miejsce, i to z taką szybkością nadzwyczajną? Z tej samej przyczyny odrzucono myśl o pływającym szkielecie okrętu. Wrócono więc do myśli o potworze.

Za mojem do Nowego Jorku przybyciem wiele osób zaszczyciło mnie zapytywaniem o to zjawisko. Ogłosiłem we Francyi drukiem dzieło w dwóch tomach pod tytułem: „Tajemnice wielkich głębin morskich“. Ta książka łaskawie przyjęta przez świat uczony, podawała mnie za powagę w tej dość ciemnej części historyi naturalnej. Zapytano mnie o zdanie. Dopóki mogłem, zaprzeczałem rzeczywistości faktu; lecz wkrótce przyparty, jak to mówią, do ściany, musiałem wytłómaczyć sie kategorycznie. Nawet „New-York-Herald“ wezwał publicznie mnie, Piotra Aronnax, profesora Muzeum paryskiego, do wydania jakiegoś w tym względzie sądu.

Ponieważ nie mogłem dłużej milczeć, rozbierałem przeto pytanie pod wszystkiemi jego politycznemi i naukowemi względami i przyszedłem do przekonania, że ów potwór jest to rodzaj narwala, zwierzęcia morskiego, mającego na przodzie głowy wielki prosty róg kościany, którym jakby mieczem uderzać zwykł w przeciwnika. Oczywiście w tym wypadku jest to narwal dziesięćkrotnie większy od największych, jakie ludzie widzieli, i dziesięćkroć potężniejszy siłą.

Tej treści artykuł ogłosiłem w jednem z największych pism nowojorskich, w „Heraldzie“:

W kilka dni po ogłoszeniu mego artykułu wyczytałem, że rząd amerykański postanowił wyszukać i zabić owego potwora, i w tym celu przygotowuje doskonały statek, nazwany „Abraham Linkoln“. Była to fregata*) pod dowództwem znakomitego, starego marynarza, kapitana Farraguta.

Fregatę uzbrojono jak na daleką wyprawę; zaopatrzono w ogromne do połowu przyrządy, lecz nie wiedziano, w którą skierować ją stronę. Niecierpliwość wzrastała z dniem każdym — gdy wtem dnia 2 lipca dowiedziano się, że parowiec kursujący między Ameryką a Chinami przed trzema tygodniami spostrzegł znowu potwora na północnych morzach Oceanu Spokojnego.

Wiadomość ta sprawiła nadzwyczajne wstrząśnienie w umysłach. Nie pozwolono Farragutowi ani na dwadzieścia cztery godzin zwłoki. Okręt jego zaopatrzony już był w żywność i węgle. Z osady nie brakowało ani jednego człowieka: pozostało tylko rozniecić ognie pod kotłami, wydobyć z nich parę i odpłynąć — czego też i sam dowódzca pragnął najgoręcej.

Na trzy godziny przed wyjściem „Abrahama Linkolna“ z Brooklynu, otrzymałem list treści następującej:

Do Pana Piotra Aronnaxa
Profesora Muzeum Paryskiego
w Nowym Jorku.

Jeśli pan chcesz przyjąć udział w wyprawie, którą przedsiębierze „Abraham Lincoln“, rząd Stanów Zjednoczonych z przyjemnością będzie widział Francyę reprezentowaną przez pana w tem przedsięwzięciu. Dowódzca Farragut zatrzymał kajutę do pańskiego rozporządzenia.

Z głębokim szacunkiem
Sekretarz marynarki J. B. Hobsohn.

Trzy sekundy przed nadejściem listu p. B. Hobsona, nic nie myślałem o ściganiu jednorożca. W trzy sekundy po odczytaniu listu byłem przekonany, że prawdziwym celem mojego życia było ścigać tego potwora i uwolnić świat od niego.

— Konsel! — zawołałem głosem niecierpliwym.

Konsel, był to mój służący. Przywiązany ten chłopiec towarzyszył mi we wszystkich podróżach. Był to dzielny Holender, którego lubiłem i który mi się takiem samem wydzięczał uczuciem. Flegmatyk z natury, akuratny z zasady, gorliwy z nawyknienia, nie dziwił się nadzwyczajnościom życia; bardzo był biegły w robocie ręcznej, sposobny do wszystkiego. Od dziesięciu lat jeździł wciąż ze mną, wszędzie, gdzie mnie ciągnęło pragnienie nauki. Nigdy najmniejszej nie pozwolił sobie uwagi nad długością albo trudami podróży; ochotnie pakował walizę do jakiegobądź kraju, do Chin, czy do Afryki. Jechał wszędzie z jednaką gotowością, a przytem taki był zdrów, że mógł sobie żartować ze wszystkich chorób.

— Konsel! — wołałem, zabierając się ręką drżącą z niecierpliwości, do przygotowań podróżnych.

*) Fregatą nazywano dawniej duży statek wojenny.

Byłem pewny gotowości mego chłopca i zazwyczaj nie pytałem go nigdy, czy chce lub nie chce jechać ze mną w podróż; teraz jednak chodziło o wyprawę, która mogła się przeciągnąć bardzo długo, o przedsięwzięcie zuchwałe, bo o ściganie zwierzęcia, które mogło zatopić fregatę, jak łupinę orzecha! Było się nad czem zastanowić, nawet człowiekowi najobojętniejszemu w świecie.

— Czy to mnie wołają? — zapytał. Taki miał bowiem śmieszny zwyczaj, mówić do mnie w trzeciej osobie.

— Tak, mój chłopcze. Przygotuj wszystko do podróży. Za dwie godziny pojedziemy.

— Jak im się podoba — spokojnie odpowiedział Konsel.

— Nie mamy ani chwili do stracenia. Zapakuj w moją walizę wszystkie moje przybory podróżne, suknie, koszule, obuwie itd. — ale jak najwięcej i jak najprędzej.

— A zbiory jego? — zauważył Konsel.

— Później się niemi zajmiemy.

— Więc nie powrócimy do Paryża?

— I owszem... tak... tak... ale trochę zboczymy z drogi, pojedziemy na fregacie „Abraham Linkoln“.

— Jak im będzie najwygodniej — spokojnie odpowiedział Konsel.

— Ty wiesz, mój przyjacielu, tu chodzi o potwora... o sławnego narwala... Pojedziemy, aby oczyścić z niego morza!

— Co zrobią, to i ja uczynię — odpowiedział Konsel.

— Ale pomyśl dobrze, bo nie chcę nic ukryć przed tobą. Jestto jedna z tych podróży, z których się nie zawsze powraca.

— Jak im się podoba.

W kwadrans nasze pakunki były gotowe, a w kilka godzin potem byliśmy w przystani, gdzie „Abraham Linkoln“ otworami dwóch swoich kominów wyrzucał gęste kłęby czarnego dymu.

Pakunki nasze bezzwłocznie przeniesiono na fregatę. Wskoczyłem na pokład i zapoznawszy się z kapitanem Farragutem, zająłem moją kajutę.

W pięć minut potem kapitan Farragut kazał odwiązać ostatnie łańcuchy, przytrzymujące okręt w przystani. Dowódzca nie chciał tracić ani jednego dnia, ani jednej godziny, by jak najprędzej dostać się na morza, na których spodziewano się spotkać potwora. Kazał zawołać przełożonego nad machinami.

— Czy mamy dosyć pary? — zapytał.

— Mamy — odpowiedział mechanik.

— Naprzód! — zawołał dowódzca Farragut.

Na ten rozkaz maszyniści puścili w ruch koła zamachowe, para zagwizdała, skrzydła, śruby z coraz większą gwałtownością zaczęły rozbijać fale, i „Abraham Linkoln“ poważnie wypłynął, otoczony mnóstwem małych statków parowych, zapchanych ciekawymi.

Ned-Land.

Kapitan Farragut dzielnym był marynarzem, godnym fregaty, którą dowodził; on i jego okręt — była to jedna całość, jedna dusza. O potworze nie wątpił ani na chwilę i na pokładzie swego statku nikomu nie dozwalał zaprzeczać o jego istnieniu. Pojmował potwora, jak żydzi Lewiatana. Potwór istniał według niego, on więc przysiągł, że uwolni morza od potwora.

Oficerowie załogi podzielali zdanie swego zwierzchnika. Trzeba ich było słyszeć jak rozmawiali, sprzeczali się, obliczali różne szanse spotkania z potworem; jak rozważali niezmierną Oceanu rozległość. Ludzie załogi z upragnieniem czekali na spotkanie jednorożca, aby go ułowić, wciągnąć na pokład, obedrzeć ze skóry i poćwiartować. Prócz tego kapitan Farragut mówił o jakichś dwóch tysiącach dolarów, przeznaczonych jako nagrodę temu, kto pierwszy dostrzeże i wskaże potwora. Łatwo zgadnąć, jak to się oczy wytężały na pokładzie „Abrahama Linkolna“. Sam tylko Konsel obojętnością swoją stanowił rażącą sprzeczność z ogólnym zapałem, ożywiającym wszystkich.

Powiedziałem już, że kapitan Farragut starannie zaopatrzył swój okręt we wszystko, co było potrzebne do złowienia olbrzymiego wieloryba. Posiadaliśmy wszystkie machiny znane, od harpuna rzucanego ręką, aż do strzał najeżonych piórkami piorunującemi i kul wybuchających, wyrzucanych z długich strzelb. Na przednim pokładzie stała wielka armata, nabijana z tyłu, o nader grubych ścianach a bardzo wązkim wylocie. Szacowne to narzędzie, pochodzenia amerykańskiego, wyrzucało pocisk spiczasty, ważący cztery kilogramy, na odległość szesnastu kilometrów.



Ned-Land, król oszczepników.

„Abraham Linkoln“ był zatem dobrze zaopatrzony we wszystkie narzędzia niszczące: ale, co najważniejsza, na pokładzie jego znajdował się Ned-Land, król oszczepników.

Ned-Land był to Kanadyjczyk, niesłychanie zręczny i niezrównany w swem niebezpiecznem rzemiośle; posiadał on prócz zręczności, w najwyższym stopniu krew zimną, odwagę i przebiegłość. To też podobno nie było wieloryba tak silnego i przebiegłego, żeby uszedł przed jego harpunem*). Był to mężczyzna czterdziestoletni, ogromnego wzrostu, silnie zbudowany, z miną poważną; mało mówił, bywał niekiedy gwałtowny, a wpadał w szalony gniew, gdy mu się sprzeciwiano. Cała postać jego zwracała na siebie uwagę; wejrzenie jego dziwnie było przenikliwe.

Sądzę, że kapitan Farragut rozumnie postąpił, przyjmując tego człowieka na pokład swej fregaty. W obecnej wyprawie ręka jego i oko starczyło za całą załogę.

*) Harpun, jest to dzida, czyli oszczep na linie, którą wielorybnik z łodzi wbija w ciało zwierzęcia; trafiony tak wieloryb nie może uciec, gdyż koniec liny ludzie trzymają z łodzi.

Kanadyjczyk ten, pomimo swej małomówności, odrazu okazywał do mnie wyraźną skłonność. Rozmawiał ze mną często, i zwolna zasmakował w rozmowie. Lubiłem słuchać opowiadań jego o wypadkach, których doznał na morzach podbiegunowych podczas łowów i walk z wielorybami.

Gdyśmy mówili o naszym potworze, Kanadyjczyk nie bardzo wierzył w jednorożca, i sam jeden ogólnej pod tym względem na statku nie podzielał opinii, unikał nawet starannie rozmowy w tym przedmiocie.

Pewnego ślicznego wieczora, 30-go lipca, to jest w trzy tygodnie po naszym wyjeździe, fregata znajdowała się o trzydzieści mil od wybrzeży patagońskich.*) Za tydzień „Abraham Lincoln“ pruć będzie fale oceanu Spokojnego. Ja i Ned-Land siedzieliśmy na tyle okrętu, rozmawiając o tem i owem. Naturalnie naprowadziłem rozmowę na olbrzymiego jednorożca, zastanawiając się nad wszystkiemi widokami powodzenia naszej wyprawy; widząc, że Ned pozwala mi mówić, a sam uporczywe zachowuje milczenie, chciałem go zmusić do odpowiedzi.

— Jak to być może Ned, zapytałem go, abyś nie był przekonany o istnieniu potwora, którego ścigamy? Czy masz jakie powody do niewierzenia?

Wielorybnik patrzył na mnie przez chwilę zanim odpowiedział; uderzył się ręką w szerokie swe czoło, przymrużył oczy, jakby dla zebrania myśli — i nareszcie rzekł:

— Być może, panie Arronax.

— Jednakże, mój drogi, jako wielorybnik z rzemiosła, oswojony z wielkiemi zwierzętami ssącemi, żyjącemi w morzu, najmniejbyś ze wszystkich niedowierzania w tym razie okazać powinien.

— W tem właśnie mylisz się, panie profesorze. Ścigałem już mnóstwo wielorybów wszelkiego gatunku; nachwytałem i nazabijałem ogromną liczbę; lecz jakkolwiek dzielnie były uzbrojone, nie spotkałem takiego, coby ogonem swym lub zębem mógł uszkodzić żelazne okucie okrętu.

— A jednakże wymieniają statki, przebite na wylot zębem narwala.

— Statki drewniane, być może, odpowiedział Kanadyjczyk — a i tych nawet nie widziałem jeszcze. Więc dopóki mieć nie będę dostatecznie przekonywającego mnie dowodu, zaprzeczam, aby wieloryb, potfisz lub jednorożec morski — mogły dokazać czegoś podobnego.

Zacząłem opowiadać mu długo i obszernie, dlaczego owego potwora uważam za zwierzę i częściowo go przekonałem. Nie chciał przyznać, że mi wierzy, ale znać było, że się waha i gotów jest pójść za mojem zdaniem.

Tak jechaliśmy przez kilka tygodni. Opłynęliśmy Amerykę południową i pruliśmy szybko fale oceanu Spokojnego, wyglądając pilnie na wszystkie strony, czy nie ujrzymy upragnionego potwora.... Nadaremnie, nic nie było widać... Zapytywaliśmy na wszystkich statkach napotykanych po drodze, czy nie widziano tego, którego znaleźć bądź co bądź musieliśmy? Nikt nic nie widział i tydzień za tygodniem znowu mijał bez skutku. Wypłynęliśmy w lipcu, był już listopad, a my nie widzieliśmy nic...

Pewnego wieczora stałem na pokładzie i oparty o poręcz statku, rozmawiałem z Konselem, patrząc na czerwony zachód słońca. Na pokładzie panowała cisza. Nagle przerwał ją krzyk donośny, gromki. Był to głos Ned-Landa, który wołał co miał siły:

— Tam! tam! pod wiatr... potwór... przeżyna nam drogę w poprzek!

*) W Ameryce południowej.

Całą siłą pary.

Na okrzyk: „Potwór przerzyna nam drogę“ — cała załoga rzuciła się w stronę oszczepnika: dowódca, oficerowie, sternicy, majtkowie, chłopcy okrętowi, nawet maszyniści i palacze, opuszczając swe obowiązki. Wydano rozkaz zatrzymania statku i fregata posuwała się już tylko siłą rozpędu.

Ciemność głęboka otaczała wszystko, a jakkolwiek Kanadyjczyk dobre miał oczy, pytałem sam siebie, jak i co on mógł widzieć. Serce mi biło jak młotem. Lecz Ned-Land nie omylił się, i wkrótce wszyscyśmy zobaczyli przedmiot, który on ręką wskazywał.

W odległości 240 sążni od fregaty, z prawego boku morze zdawało się jakby oświetlone po wierzchu. Potwór zanurzony na kilka sążni od powierzchni wód, rzucał silny a niepojęty blask. Wspaniałe te promienie musiał wytwarzać czynnik wielkiej siły oświetlającej. Część świetlna opisywała na morzu ogromny owal mocno wydłużony, w którego środku zbierało się ognisko, rzucające blask olśniewający.

— To światło elektryczne. Zresztą patrzcie — rzekłem — patrzcie, ono się porusza! posuwa się naprzód, w tył! rzuca się na nas.

Na fregacie rozległ się jeden okrzyk ogólny.

— Milczenie! — zawołał kapitan Farragut. — Zwrócić okręt do wiatru! Ruch w tył!

Majtkowie rzucili się do steru, maszyniści do maszyn, i „Abraham Lincoln“ zawracając od lewego boku, zakreślił sobą półkole, fregata nagle odsunęła się od świetlnego ogniska.

Mylę się. Chciałem powiedzieć, że chciała się odsunąć, lecz zwierzę nadprzyrodzone zbliżyło się do niej z szybkością dwa razy większą.

Oddychaliśmy zaledwie, oniemieliśmy i osłupieli bardziej z zadziwienia aniżeli z obawy. Zwierzę dopędzało nas jakby przez igraszkę. Okrążyło fregatę pędzącą z szybkością czternastu węzłów, i otoczyło ją warstwą elektryczności, jakby jakim pyłem świetlnym. Potem odsunęło się na dwie lub trzy mile, pozostawiając za sobą smugę fosforyczną, podobną do kłębów pary, jakie za sobą w tył wyrzuca lokomotywa pociągu pospiesznego. Nagle od ciemnych krańców widnokręgu, do których doszedł, potwór zawrócił się znowu ku fregacie z przerażającą szybkością, i w odległości dwudziestu może stóp od niej zatrzymał się, przygasił nagle swój blask, nie zanurzając się jednak w wodzie, bo światło nie ulegało stopniowemu zmniejszaniu się, tylko nagle znikło. Potem ukazał się z drugiej strony okrętu, lecz nie wiadomo jakim sposobem. Niebezpieczeństwo zetknięcia się z nim groziło nam klęską.

Dziwiły mnie obroty fregaty. Uciekała, zamiast nacierać. Powinna była ścigać, a tymczasem sama była ściganą; zrobiłem tę uwagę kapitanowi. Na twarzy jego, spokojnej zwykle, czytałem nieopisane zdziwienie.

— Panie Aronnax — odpowiedział mi — nie wiem z jaką straszną istotą mam do czynienia, i nie chcę nierozważnie narażać mojej fregaty wśród takiej ciemności. Zresztą, jakże zaczepiać, gdy nie wiemy kogo? jakże się bronić przeciw niemu? Poczekajmy do dnia, a wtedy role się odmienią.

— Ale już teraz nie wątpisz kapitanie o istnieniu zwierzęcia? — zapytałem.

— Nie, panie; jest to oczywiście narwal olbrzymi, ale zarazem elektryczny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

27)

(Ciąg dalszy).

— Ostatnie — rzekł Jan. — Kiedym owej nocy feralnej strat i słabości, złamanego obowiązku i poniżonej godności mojej, powiedział jej z boleścią: żegnam panią... było to już słowo ostatnie. Nie uciekłem z domu z trwogi przed słabością własną, ale ze wstrętu do historyi dalszej, któraby mi raniła serce. Niech p. Wanda bierze margrabiego Buiccioli... to człowiek czy łatwiejszy odemnie, czy głębiej w namiętności swej upłątany.

— Ależ Włocha już pewno nie ma — zawołał pan Paweł z jakimś błyskiem nadziei — już niechybnie wyjechał i nie wróciłby pewno, bo nie wiesz co ta dziewczyna wyprawiła za awanturę!... Muszę też powtórzyć, że mimo wszystkiego, co powiedzieć przeciw niej można, kocha cię gorąco...

— Czemuż na nieszczęście nie umiała kochać dobrze!.. zawołał Jan z goryczą ogromną i p. Paweł postał chwilę w milczeniu, potem ścisnął go smutnie za rękę, wziął czapkę i zabrał się do odwrotu. Siadł na bryczkę zadumany, nie gniewny na Jana, ale bardzo nierad, że rzecz się ułożyć nie dała.

— Byłoby takie małżeństwo śliczne — rzekł sobie w drodze — Jan by mógł niedługoteńko wrócić do Kamienia i mogłaby być na świecie para ludzi szczęśliwa...

— Ha! dodał smutnie — pokazuje się, że być nie mogła...

— O! czemuż nie umiała kochać dobrze! — zawołał Jan z boleścią ciężką, gdy bryczka p. Pawła zniknęła mu z przed oczu, a on po chwili wrócił z przed ganku do pokoju.

— Miała moc ogromną nad najwyższą siłą istoty mojej, a zachciała mnie ująć w pęta przez słabość nizką — dodał chwytając rozpacznie ręką za głowę.

Stał tak, stał, aż nagle skoczył do pokoju drugiego — do sypialnego alkierza i runął twarzą na łóżko — płakał! Płakał jak kobieta, jak dziecko, łzami które się lały...

Panna Wanda istotnie „wyprawiła awanturę,“ o której cała okolica już wiedziała. W poniedziałek zerwała stanowczo z Włochem, a gdy matka przywiedziona do rozpaczy zniszczeniem najpiękniejszych swych planów, zapowiedziała jej z nieużywaną dotąd surowością, że nie pozwoli dłużej na podobnie szalone postępowanie, któreby ją wkrótce osławiło przed ludźmi, i jutro zaraz wywiezie ze wsi do Warszawy, panna Wanda, rozdrażniona namiętnie, wsiadła cichaczem na konia i szarym już mrokiem puściła się sama jedna do Smardzewa. Nikt nie wiedział gdzie się podziała, a gdy mrok zaczynał się stawać nocą, p. Podleska przestraszona, wpadła na myśl piorunującą, że Wanda puściła się do chaty w lesie — do Jana.... Liczyła jeszcze, że zerwanie z Włochem da się załagodzić, za jej staraniem nawiązać i dla tego nie puściła go jeszcze z domu, nie dając niby przed nocą wyjeżdżać, dla tego postanowiła zaraz nazajutrz w kilka godzin po nim jechać do Warszawy, gdzie przy pomocy usłużnego hrabi — cygana miała nadzieję margrabiego spotkać i złe naprawić, gdy nagle uderzył ją grom!... Chciała zemdleć — szczerze — ale nie zemglała, tylko straciła głowę: kazała zaprzęgać sobie do powozu, kazała wsiadać Kubusiowi na koń i pędzić po pana Kapitana, który na nieszczęście pojechał do miasteczka i dotąd nie wrócił, posłała do oficyny prosić do siebie p. Walerego i przytem wszystkiem wymknęło jej się niefortunne słówko: Kamienna Wola! A słówko niestety, choć ptaszkiem wyleci, nie wróci potem wołem, choć więc na szczęście kapitan sam wkrótce nadjechał i nie pozwolił na wyprawę; wypytał się stajennego, w którą stronę panna Wanda wyjechała na spacer i uspokoił matkę, przyrzekając zrobić poszukiwania mniej uderzający charakter mające, dość już tego było, co było, aby rzecz urosła do znaczenia tragedyi. Tak biegano po domu tajemniczo, szeptano, wyglądano w ciemność nocną, że nawet Włoch coś zmiarkował, zaczął coś podejrzywać, aż tu około dziesiątej wieczorem, bo do Smardzewa była blisko mila, p. Paweł sam odwiózł pupilkę, której choć powiedział perorę surową, że się z matką tak nie postępuje, jednak przyrzekł opiekę i wytargował na p. Podleskiej, że do końca tygodnia na wsi zostanie. Oświadczenie się Wandy Janowi zostało tajemnicą między nim i Wandą, bo matka nie byłaby o tem słuchać chciała, ale ludzie obojętni umieją się nieraz prędzej o tem dowiedzieć, czego nigdy wiedzieć nie będą najmocniej interesowani, i ludzie też z parafii Kamieńskiej rzeczy całej cudownym można powiedzieć zmysłem doszli i z komentarzami w świat puścili. Polowy z Kamiennej Woli pochwalił się przed gumiennym z dostania dwuzłotówki od p. Pawła za to, że doniósł mu duchem o powrocie młodego pana z Warszawy, gumienny zaś widział sam p. Pawła, gdy nasępiony od Jana z leśnej chaty wracał i nawet do pp. Piotrowstwa po drodze nie wstąpił. Potem zaraz p. Paweł do Podlesia pojechał, potem p. Wanda chorowała do wieczora, leżała z płaczu przez pół dnia jak nieżywa, a na drugi dzień rano zerwała się raptem na nogi i powiedziała matce — Kasia słyszała, — że przystaje na wyjazd do Warszawy, i chce nawet tego wyjazdu co najprędzej... Więc ludzie ciągnęli ładnie niteczkę tego kłębuszka, aż rozwinęli kłębek cały; może i p. Paweł coś bąknął, powiedział coś żonie, a żona swojej siostrze, matce p. Sewerynowej, dość, że kiedy w sobotę koło południa panie z Podlesia wyjechały do Warszawy, już w niedzielę szeptano sobie domysły, które w poniedziałek doszły skończoności historycznej prawdy. Panna Wanda — mówiono — chciała pokokietować Włocha, aby się z nim przed ludźmi pochwalić i pokazać jakąby karyerę zrobić mogła, ale wolała Jana, kochała się w nim szalenie. Jan dumny, o kokieteryą się rozgniewał i nie chciał jej, choć potem oświadczyła mu się sama za pośrednictwem p. Pawła. Byli tacy, którzy utrzymywali, że Wanda uciekła istotnie prosto do chaty leśnej, ale nie zastawszy Jana, zawróciła dopiero do Smardzewa; inni poprawiali legendę, że byłaby tam uparcie

czekała, ale ją p. Paweł, przypadkiem tamtędy przejeżdżając, pod sosną zobaczył i do matki odwiózł....

Gadano, odgadywano, tworzono kwiaty fantazyi domorosłej, ale zostało to w umysłach faktem najwybitniejszym, że Jan nie chciał panny, która była bogatszą od p. Władysławowej; bogatszą niż młodsza siostra pani Sewerynowej, panna Lucyna; bogatszą zatem od Felisi Oktabowiczówniej, o wyrachowanie, na którą posądzano Jana czas jakiś.

A do tego panna była z takiem szykiem i z takiej familii, bo hrabiostwo rodu Podleskich zaczynało stawać się rzeczą pewną od chwili, gdy nie można było wątpić, że margrabia włoski konkurował o Wandę. — A to mógł się panie ożenić... mówiono kręcąc głowami.

— Katon! odezwał się ktoś, zapamiętawszy wyrażenie p. Juliana, i przydomek ten został już własnością Jana. Mógł się nie gniewać o to, bo choć z Katonów żartują niekiedy — za ich plecami — szanują ich zawsze.

Szanowano też Jana coraz więcej, szanowano wcale niemniej, jak gdyby, posag p. Wandy wziąwszy, na miejsce chaty leśnej zbudował sobie pałac. Jan posiadał pałac, w którym mieszkał zawsze, w którym zawsze przebywał: pałac silnej woli dumnej i godności osobistej, przed którą odkrywały się mimowoli głowy ludzkie.

Co jego dusza przeszła w przebytej próbie ogniowej? Co w niej przecierpiało jego serce, tego nikt nie badał i nie mówiono też o tem. Panie zauważyły, że jest nieco bledszy i znajdowały, że mu jest z tem bardzo do twarzy, ale to było rzeczą pozytywną, że w sobotę po przewodniej niedzieli zaczął siać na Kamiennej Woli jarzyny — jak gdyby nic nie zaszło na świecie...

Nowego siewnika nie kupił, bo pieniądze na niego przegrał do przyjaciela pana margrabiego. Dlatego sam siał — sam, własną ręką. Pracował tak dzień cały, nużył się do znoju gorącego i może tym sposobem odzyskał sen utracony razem z pierzchłą marą szczęścia i miłości. Wiatr wiosenny, słońce wiosenne osmaliło mu przy tej robocie jasną płeć blondyna, i nie znać było wkrótce, czy jest blady jeszcze. Panie twierdziły przecież, że mu jest równie dobrze i z tą ogorzelizną wiosenną, która przyciemniła cerę białą. Wyrastał coraz więcej na bohatera, a bohater każdy zawsze jest pięknym w oczach kobiecych: czy ma blade czoło smętne, czy twardsze rzemiosło pracy na twarzy męskiej. Bóg zasiał na to w pierś kobiety uwielbienie bohaterstwa, aby bohaterowie mieli na ziemi choć miłość, i niech tylko skala pojęcia kobiety podniesie się do zrozumienia, gdzie jest istota prawdy heroicznej, a najszlachetniejsza część ludzkości będzie szczęśliwą przez poezyę duszy kobiecej. Niech się z tego rozśmieje kto chce, ja powtórzę jeszcze: przez poezyę duszy kobiecej!....

Nasz bohater — bohater na maluczkiem polu Kamiennej Woli, siał jarzyny, a wiatr kwietniowy przewiewał koło niego łanem i leciał do lasu, gdzie już kwitły sasanki i przylaszczki: białe, modre. Panna Wanda mogła była mieć już teraz nie zatrute wieńce i bukiety, mogła była pić piersią pełną wonny aromat wiosny i być szczęśliwą!.... Mogła była to mieć — posiąść szczęście i dawać je sercu drugiemu, ale niestety, nie wzięła tego daru bożego, nie posiadła sama i nie udzieliła nikomu. Ze zranioną głęboko piersią, rozdartem wskroś sercem, z upokorzoną ciężko dumą rzuciła drogi kąt ziemi rodzinnej i ujechała gdzieś w świat, unosząc z sobą wieczny ból, żal, tęsknotę za pożądanym, a nieosiągniętym ideałem swoim. Litość ogromna brała mnie wtedy nad nią, i litość tę mam jeszcze teraz [illegible] pozostała na zawsze w myśli mojej jak istota [illegible]cająca wzrok żałosny za rozbitym czerepem drogocennej czary, którą miała tak blisko, blisko ust, a wypuściła z rąk nieuważnie i naczynie kosztowne rozprysnęło się przy jej nogach, rozlewając po ziemi napój słodki. To też kiedy się spotkam w życiu z kobietą, która żyje w nieustannej pogoni za marą uciechy jednodniowej, która pcha się do tego wtedy nawet, gdy jest już zmęczona i znudzona przesytem, a która przecież nie może nigdy zostać się w spokoju, w weselu cichem przy ognisku swem domowem, wśród rodziny kochanej i kochającej, bez gwaru, który ją głuszy, bez rozrywek, które odurzają, mówię sobie markotnie, że może taką jest ona!....

— Może taką jest ona! powtarzam w myśli, spotkawszy to najsmutniejsze pod słońcem widziadło istoty ludzkiej, kobietę zalotną, która się już starzeje na to, aby pociągać, wabić, nęcić, a ma jeszcze długie lata przed sobą, aby żyć, czuć, rozmyślać. — Może taką jest ona? wołam z żalem — widząc jak usta zbladłe zaciskają się cierpko, jak oczy pałają blaskiem posępnym, jak gorzki jest uśmiech, który w kątach warg osiada, jak przepaściste puste, samotne, smutne jest serce biednej!

Wanda była lepszą od wielu kobiet jej podobnych. Wanda miała w głębi piersi serce, bo umiała pokochać, tylko — jak Jan powiedział sobie z rozpaczą — nie umiała pokochać dobrze, podniośle.... Nie urobiono jej do uczucia miłości takiej, nie postawiono jej wzoru życia górnego i zwichnęła sobie to życie. Gdy w ostatni dzień jej pobytu w Podlesiu, w godzinie już ostatniej rozstania się stanowczego z przeszłością, zmęczona gorączkowem wybieraniem się w drogę, siadła nakoniec w samotnym swym pokoju na jednym z kuferków podróżnych, a ludzie wynosili tymczasem inne, aby przytraczać je do powozu, który miał wkrótce ruszyć, rozpłakała się nagle płaczem gorzkim. — Ach! zawołała łkając — jak ja poplątałam niebacznie nici mego życia!....

Przyczyną bolesnego tego wybuchu był zwit szpagatu porwany i powiązany w supły, rzucony wreszcie na ziemię i walający się po podłodze, a na który zamyślone jej oczy padły przypadkiem. — Jak ja stargałam nici życia mego — powtórzyła i łzy ciche płynęły jej długo, długo z oczu. Płakała jak pokutnica żałosna, ale żadna pokuta boleści nie wraca życia wstecz, nie cofa przeszłości. Czara była rozbita i nektar wylany....

— Czy Jan przecież nie postąpił za surowo? zawoła może niejedna z czytelniczek — czy nie powinien był przebaczyć?... — Może być, odpowiem i może przebaczał w sercu, ale czy mógł już wrócić do miłości dawnej? Powiedział z goryczą zasmuconemu swatowi, że nie mógł! nie mógł!...... Pamięci nic nie odbierze, niewiary, która się raz zakradła w miłość, nic nie przeistoczy, chyba przekonanie, żeśmy się mylili, biorąc za prawdę złudzenie. Jan przecież nie mógł dowieść sobie, że to nie Wanda darzyła takim samym uśmiechem dwóch niemal razem, że to nie Wanda umiała przenikać dwóch podobnem spojrzeniem. To też i jego czara dyamentowa prysła rozbita — rozlał się nektar miłości: wiara w piękno ducha istoty kochanej, uwielbienie gorące serca kochającego. Został mu w tem sercu ból po miłości straconej, została ciężka tęsknota za kochanką dawną, która nagle przepadła mu na wieki, ale ta Wanda, która istniała teraz jeszcze, nie była już tą samą, którą kochał pierwej.... Nie! nie! on cierpiał okrutnie po stracie tamtej, ale tej, którą mógłby pozyskać teraz, już kochaćby nie potrafił. Była to osoba nowa — tej nie ufał, a przed tamtą klękał w uwielbieniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).